

Wielkiego Adama

31.

Mark Twain.

HUMORESKI.

TOM TRZECI.

WARSZAWA

1881

Cena kopiojek 12.

Wydawnictwo  
Dzielnicy  
Książki



## PROSPEKT.

Dzisiejszy stan naszej oświaty wymaga nie tylko wydawnictw dobrych, kompletnych, ale i — odpowiednio do powszechnego ubóstwa, obok powszechnej chęci czytania. Wszystkie też narody posiadają takie tanie wydawnictwa arcydzieł literatury własnej i obcej, odnawiające się niemal corocznie, dla milionów eo chwila przybywających do stołu oświaty. Anglicy cieszą się swemi pennowemi bibliotekami, a Filip Reclam swą „Universal Bibliothek”, której każdy tomik kosztuje 20 fenigów, zaś sięwa obfite ziarno po całych Niemczech. Dokonać czegoś podobnego dla literatury polskiej jest gorącą naszą chęcią, świętym obowiązkiem, gdyż tego pilna zachodzi potrzeba, gdyż coraz bardziej nowe pokolenia ze słuchu tylko powtarzają wieści o własnych i obcych arcydziełach. Czy taki stan ma się nazywać oświatą — czyż ma odpowiadać godności oświeconego narodu?

Trzeba temu zaradzić!

Wydawnictwo które niniejszym prospektem ogłaszamy, składać się będzie z arcydzieł własnych i obcych literatur wybranych z dziedzin najobszerniejszych i najrozmaitszych. Ponieważ nie tworzymy żadnego zbiorowego wydania, a jedynym związkiem między pojedynczymi tomami będzie jednostajność formatu i okładki, przeto nie ogłaszamy żadnej perryodyczności w wychodzeniu tomów, ani żadnej z góry wiszczać się mającej prenumeraty. Każdy tomik złożony z pięciu do sześciu arkuszy druku, szesnastki wyraźnym bourgeoisem zadrukowanej, na czy-

Zbiory specjalne

Mark Twain.

# HUMORESKI.

BIBLIOTEKA UNIWEERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0463071

TOM TRZECI.



372644

372644/3

WARSZAWA

Wydawnictwo Dziel Tanich A. Wiślickiego

1880.

10, p

D/249/2015

Wydano z dubletów  
Bibl. Publ. m. st. W-wy



Zaświadczone przez  
Odr. Ochr. Dóbr Kultury

Дозволено Цензурою  
Варшава 3 Сентября 1880 года.



DR 914

Bibl. Publ. m. st. W-wy  
w Drukarni Przeg. Tygodniowego, ulica Czysta № 2  
Wymiana

## Redagowanie dziennika w Tennessee.

„Redaktor „Lawing” w Memphis w następujący łagodny sposób traktuje korespondenta, który go dotknął jako radykała: — Gdy ten pisał z czarnym sercem napisał swe pierwsze słowo, gdy był już w środku zdania, gdy swe *i* punkcikami, a swe *t* kreskami opatrzył i nagrzymolił swą peryodę, wiedział, że wysmażył zdanie przepelnione podłością a przegnite oszukaństwem”.

*Exchange.*

Mój lekarz zalecił mi klimat południowy jako lekarstwo, w ten sposób wyjechałem do Tennessee i otrzymałem miejsce współpracownika przy dzienniku „*Jutrzenka sławy i okrzyk wojenny Johnson-County*”. Gdy objąłem mój urząd zastałem redaktora siedzącego na trójnogu a nogi spoczywały na jodłowym stoliku. W pokoju stało także drugie krzesło z miękkiego drzewa i jeszcze jedno z amputowaną nogą, lecz oba krzesła były zasypane i pogrzebane mnóstwem dzienników, pasków i manuskryptów. Prócz tego była w tym pokoju drewniana spluwaczka na-

Przebiegł oczyma wiersze, rysy twarzy stawały się czem raz groźniejsze. Spostrzegłem, że napisałem nie po myśli jego. Zerwał się z miejsca i krzyknął:

„Do stu dyabłów! Czy sądzisz pan, że ja mógłbym w tym tonie pisać o tem bydle? czy myślisz że moi prenumeratory mogliby znieść taką mdłą strawę? Dajno pan pióro!”

Nigdy nie widziałem, by czyjekolwiek pióro tak złośliwie biegało po papierze i tak bez litości wykreślało czasowniki i przymiotniki. W czasie gdy tak był zajęty pracą, ktoś strzelił przez otwarte okno i zniszczył symetrię jego usz.

„Ach” rzekł on, „to łotr Smith... z „*Wulkanu moralnego...*” oczekiwałem go wczoraj”.

Mówiąc to porwał za rewolwer i strzelił. Smith padł na ziemię trafiony w nogę. Leżąc na ziemi strzelił Smith po raz wtóry, lecz strzał chybił celu i dosięgnął niewinnego. Tym, byłem ja. Odstrzelił mi tylko jeden palec.

Redaktor po tej chwilowej przerwie wykreślał i przekreślał dalej i właśnie był u końca mego artykułu, gdy przez rurę od pieca wypadła ręczna bomba; eksplozja potrzaskała cały piec, zresztą nie uczyniła żadnych szkód prócz wybicia mi kilku zębów.

„Ten piec jest zupełnie zniszczony” przemówił redaktor.

Zgodziłem się na to w zupełności.

„No, mniejsza z tem — o tej porze jest on i tak niepotrzebny. Znam sprawcę i już go złowię. Oto masz pan wzór, podług którego należy pisać podobne wiadomości”.

Wziąłem manuskrypt, był on tak dalece opatrzone kreskami, słowami wtrąconemi etc., że rodzona matka nie byłaby go poznała, gdyby w ogóle miała kiedy matkę. Teraz brzmiał on następująco:

„*Duch dziennikarstwa w Tennessee*”.

„Obrzydliwi kłamcy z „*Półtygodniowego trzęsienia ziemi*” czynią widocznie starania, by narzucić swe podstępne i niecne zamiary szlachetnemu i rycerskiemu narodowi, obrzucając błotem najświetniejszą ideę dziewiętnastego wieku, t. j. przeprowadzenia kolei do Ballyhak. Pomysł pozostawienia Buzzardville na lewo zrodził się w ich własnej wstrętnej mózgownicy — a raczej w tych szumowinach, które oni za rozum uważają. Najlepiej by uczynili, połknąć to kłamstwo, jeśli chcą uniknąć kijów wymierzonych na ich trupie cielsko, a na które te płazy oddawna zasłużyli.

„Ten osioł, Blossom wiercipięta z „*Piorunu i okrzyku wojennej wolności*” w Higginsville, kręci się w naszym mieście.

„Notujemy, że ta głupia owcza głowa z „*Wycia porannego*” w Mud-Springs ze zwykłą sobie skłonnością do kłamstwa puszcza w świat bajkę, jakoby van Werter nie został wybrany. Wzniósłym celem dziennikarstwa jest posiew prawdy, niszczenie błędów, wychowanie, kształcenie, uszlachetnienie publicznej moralności i obyczajów, całą ludzkość zrobić łagodniejszą, cnotliwszą, bardziej dobroczynną i pod każdym względem lepszą, świętszą i szczęśliwszą; a ten podły łotr z pod ciemnej gwiazdy kala

to wysokie posłannictwo przez szerzenie kłamstwa, oszczerstwa, łajania i gminnego wymyślania.

„Blathersville chce mieć brukowaną ulicę — a zapomina, że raczej mu potrzeba więzienia i domu przytułku. Co za myśl, zaopatrywać taką lichą miejscinę w bruki, której wspaniałe budynki redukują się do lichych dwu gorzelni, kuźni i tej wizykatoryi dzienniczków zwanej „*Codziennem Hurrah*”. Dlaczegoż nie pożyczą sobie bruku z Memphis? Tam dostać go można za tanie pieniądze. Ten pełzający owad, nazwiskiem Buckner, który redaguje „*Hurrah*” wrzeszczy jak dziki osioł, i plecie niedorzeczności będąc przekonany, że mówi rozsądnie”.

\* \* \*

„Oto masz pan dziennikarską receptę — trochę pieprzoną. Wasz ekliwo-mleczny sposób pisania przyprawia mnie o mdłości”.

W tej chwili padła przez okno do pokoju cegła, rozbiła okno i uderzyła mnie silnie w plecy. Cofnąłem się z linii bojowej — zacząłem odczuwać, że stoję komuś w drodze.

Redaktor rzekł:

„Prawdopodobnie był to pułkownik. Oczekuję go od dwóch dni. Teraz wejdzie”.

I sprawdziło się. Drzwi się otwały a pułkownik z dragońskim rewolwerem stanął na progu. Przemówił:

— Mój panie, czy mam zaszczyt mówić z mamką, która redaguje ten parszwyw dziennik?

— Tak jest, pan masz ten zaszczyt. Siadaj pan, lecz ostrożnie, bo to krzesło ma tylko trzy nogi. Sądzę, że spotkał mnie ten zaszczyt mówienia z za rozumiałym łotrem, pułkownikiem Blatherskite Tecumseh?

— Ja nim jestem. Chciałbym z panem zagrać kogu-cika. Jeśli masz pan czas, to zaczynamy.

— Mam wprawdzie ukończyć artykuł o „dobrze wróżącym postępie i rozwoju intelektualnym i moralnym w Ameryce”, ale to nie pilnego. Zaczynaj pan.

W tejże chwili rozległy się dwa strzały. Mój redaktor stracił jeden lok ze swej głowy a kula pułkownika zakończyła swój bieg w mięsistej części moich łądźwi. Pułkownik został lekko raniony w lewe ramię. Strzelili po raz wtóry. Obaj chybili, lecz ja odebrałem należną mi część, a mianowicie strzał w ramię. Przy trzecim strzale obaj panowie lekko się ranili, a kula naruszyła mi kość nożną.

Wówczas przemówiłem, że ja uważam za stosowne wyjść z pokoju i zacerpnąć trochę świeżego powietrza, gdyż jest to prywatna rozmowa, a ja przez delikatność nie chcę być dłużej świadkiem tejże. Lecz obaj panowie prosili mnie siedzieć cicho na miejscu i zapewnili, że nie stoję im wcale w drodze. Ja byłem innego zdania.

Następnie rozmawiali o wyborach i tegorocznych zbiorach, a ja opatrywałem i zawiązywałem moje rany. Lecz wkrótce rozpoczęła się strzelanina i każdy strzał trafiał — i nie mogę zamilczeć, że pięć do sześć strzałów dosięgło moją osobę. Za szóstym wystrzałem został pułkownik śmiertelnie raniony, i uczy-

nił on dowcipną uwagę, że teraz musi powiedzieć „dzień dobry” i odejść w górne miasto, tam powołują go bowiem interesa. Następnie dowiedział się o pomieszkaniu grabarza i poszedł.

Redaktor zwrócił się do mnie i rzekł:

— Czekam dziś z obiadem na liczne towarzystwo, więc muszę wydać odpowiednie rozporządzenia. Będę panu bardzo obowiązany, gdy zechcesz przeczytać korektę i obsłużyć odwiedzających.

Na myśl obsługiwania takich wizytujących trochę zdrząłem, lecz przez usłyszaną i odczutaną kanonadę upadłem tak moralnie, że nawet nie pomyślałem o odpowiedzi.

Redaktor mówił dalej:

— Jones będzie tu o godzinie trzeciej — obij go pan porządnie. Gillespie może wcześniej przyjdzie — wyrzuć go pan za okno. Ferguson przyjdzie o czwartej — zabij go pan. Sądzę, że na dziś nikt więcej nie przyjdzie. Jeśli zostanie panu trochę wolnego czasu, napisz pan piorunujący artykuł o policji — daj pan tam kilka gorzkich pigulek do przełknięcia nadinspektorowi. Kij leży pod stołem, broń palna w szufladzie — amunicja tam w kącie — płótno i bandaże w górnych półkach. Jeśliby pana coś ludzkiego spotkało — zjedź pan na dół do chirurga. On anonuje się w naszym dzienniku — więc zrównamy nasz rachunek.

I poszedł. Ja zdrząłem. W ciągu przebytych tu trzech godzin przeszedłem tyle niebezpieczeństw, że cały spokój duszy i równowaga ulotniła się. Gillespie przyszedł pierwszy i wyrzucił *mnie* za okno. Jones

stawił się punktualnie i gdy zamierzałem wykonać polecenie redaktora, karta się odwróciła i on przyjął na siebie mój obowiązek obicia go kijem. Przy spotkaniu się z jakimś nieznanym, który nie był umieszczony w spisie mych gości straciłem me włosy. Inny również mi nieznanym Thompson rzucił mną w kąt, gdzie leżałem jako ruina, jako skład podartych rupieci, nademną szalał tłum redaktorów, nicponiów, polityków i łotrów, wściekali się i kłęli niebo i ziemię, wywijając bronią nad moją nieszczęsną głowę i właśnie zamierzałem rezygnować z mej posady dziennikarskiej, gdy zjawił się mój redaktor w gronie zachwycających i zapałonych przyjaciół. Teraz nastąpiła straszliwa scena, pełna wściekłości i morderstwa, nie dająca się opisać żadnym piórem, nawet stalowem. Ludzi zabijano, kłuto, siekano, wyśadzano w powietrze i za okno; następnie zawiła burza przekleństw, przerywana szalonym tańcem wojennym — a potem wszystko się uciszyło. Po pięciu minutach zapanował zupełny spokój a skrwawiony redaktor i ja patrzaliśmy się na krwawe zwaliska, zaścielające całą podłogę. On rzekł:

— Pan wówczas pokochasz to miejsce, gdy się do podobnych rzeczy przyzwyczaisz.

Odpowiedziałem:

— Racz pan darować mej śmiałości; jednakże ja sądzę, że być może, iż po dłuższym czasie udałoby się mi pisać według gustu pańskiego, nawet jestem głęboko przekonany, że nabywszy odpowiedniej praktyki i nauczywszy się języka pisałbym w żądany sposób. Lecz — prawdę mówiąc — ten rodzaj ener-

gicznych wyrazów ma swe niedogodności i naraża na niepokój. Wszak pan sam to widzisz. Bez wątpienia ten krzepki rodzaj pisania uczucia publiczność, ale ja nie lubię zwracać na siebie zbyt wielką uwagę. Nie mogę pisać z koniecznym dla mnie spokojem i skupieniem, gdy mi przerywają tak, jak dzisiaj. Miejsce to przy dzienniku jest wcale dobre, lecz nie mogę pozwolić na to, byś mnie pan tu samego zostawiał dla przyjęcia gości. Zdarzenia dnia tego, przyznają to otwarcie, są w swym rodzaju nietylko nowe, lecz nawet zabawne, jednakowoż podział był niesprawiedliwy. Jakis pan strzela do pana przez okno a rani *mnie*; przez piec pada bomba, by zrobić niespodziankę a *ja* tracę zęby; pański przyjaciel odwiedza pana, celem powiedzenia sobie kilka wzajemnych komplementów i tak długo *mnie* ostrzeżliwa kulami, póki moja skóra nie jest zdolną pokryć mych moralnych zasad; pan idziesz na obiad a Jones przychodzi z kijem, Gillespie wyrzuca *mnie* za okno, Thompson zdiera ze *mnie* suknie a zupełnie mi nieznany pan zabiera *moje* włosy z poufaleścią dawnego przyjaciela, i nie mija pięć minut a prawie wszyscy nicponie kraju schodzą się w swych malowniczych strojach, by resztki mego ciała nabawiać strachu śmiertelnego. Wszystko rozważywszy, jeszcze nigdy w mojem życiu nie przeżyłem chwili tak obfitych w zdarzenia. Pan podobałeś mi się i także pańska uroczysta metoda wyjaśnienia zawitych kwestyj swym kundmanom, ale zważ pan tylko, *ja* nie jestem do tego przyzwyczajony. Serce mieszkańców południa jest zbyt namiętne a gościnność aż

nazbyt rozrzutna dla obcego. Artykuł, który dziś napisałem a do którego zimnych zdań wlałeś pan palącego ducha prasy z Tennessee, znów poruszy całe gniazdo szerszeni. Banda owych redaktorów znów przyjdzie — a przyjdzie wygłodzona i zapragnie śniadania na pewno. *Ja* muszę pana pożegnać. Muszę odmówić sobie tej przyjemności być obcym przy tych uroczystościach. Dla poprawienia zdrowia przyjechałem na południe, dla tejsze samej przyczyny muszę wrócić i to natychmiast. Dziennikarskie zatrudnienie w Tennessee jest dla mnie zbyt niepokojące. Poczem pożegnaliśmy się z wzajemną przykrością a *ja* zamieszkałem w szpitalu.

### Świętej pamięci Benjamin Franklin.

„Nie odkładaj nigdy na jutro, co możesz i po jutrze zrobić”.

B. F.

Człowiek ten należał do ludzi, których nazywają filozofami. Urodził się on bliźniakiem, gdyż w Bostonie wskazują dwa domy upamiętnione tym wypadkiem. Domy te stoją po dziś dzień opatrzone tablicami z odpowiednim napisem. Właściciele tych domów stawiają wysoko zaszczyt posiadania tablic, chociaż one nie są konieczne do tytułu własności, lecz za to przyjeźdnym pokazują te fenomenalne

koby to było jego powołaniem! Mój dziadek zna go bardzo dobrze i on mawiał, Franklin był zawsze gotów — zawsze usłużny. W czasie gdy on był już starcem a spotkał go ktoś niespodzianie w chwili łowienia much lub lepienia pasztetów z gliny, albo też suwającego się po pochyłej desce, w tejże chwili zwykł był on przybierać minę uczonego, wypowiadał jakąś regułę życia, podnosił głowę do góry, czapkę odwrotnie nakładał i z całą usilnością starał się okazywać ekscentrycznym i absorbowanym. Był to wielki frant.

Z wielką dumą opowiadał, że przybywszy po raz pierwszy do Filadelfii, nie posiadał prócz dwóch szylingów i cztery bułki; zbadawszy rzecz tę krytycznie, nie ma na tem i każdy z nas potrafiłby to zrobić.

Jego to pamiętnik posiada ten zaszczyt, że poleca armii wprowadzenie strzał i łuków, zamiast bagnętów i karabinów, gdyż zdaniem jego bagnęt w pewnych warunkach jest dobrą bronią, wątpi jednak czy można go skutecznie użyć w pewnem oddaleniu.

Benjamin Franklin uczynił dla ojczyzny wiele rzeczy godnych uwagi i przyniósł zaszczyt swemu krajowi w wielu ziemiach jako syn tegoż kraju. Nie mam bowiem zamiaru tego ignorować i ukrywać, wcale nie, li tylko pragnę usunąć owe pozory czyniące go niezwyčajnym człowiekiem, unicestwić owe maksymy, które nudziły świat jeszcze za czasów budowania wieży Babel, pokazać w właściwym świetle jego plany wojskowe, jego dumę z przybycia po raz pierwszy do Filadelfii, jego manię puszczania

orłów i czynienia tym podobnych głupstw, zamiast warzyć mydło i robić świece. Pragnąłbym wreszcie usunięcia tego nieszczęsnego wyobrażenia, że Franklin dlatego został nazwany geniuszem, iż pracował darmo, uczył się przy świetle księżycy, wstawał o północy, zamiast czekać poranku, jak przystało na dobrego katolika i że program ten, zastosowany nielitościwie do każdego głupiego chłopaka zrobi zeń Franklina. Już wielki czas, by ci panowie zrozumieli, że te obrzydliwe ekscentryczności instynktu i zachowania się, są w najlepszym razie *symptomami* geniuszu, ale nigdy *twórcami*. Chciałbym być ojcem mych rodziców i to od dość dawna, aby wpoił im tę prawdę wedle której ich syn przepędzałby czas milej, jak to ja czyniłem. Gdy byłem dzieckiem, chociaż ojciec należał do ludzi bogatych, musiałem warzyć mydło, rano wstawać, przy śniadaniu uczyć się geometryi i wszystko to czynić co Franklin — a to w uroczystej nadziei, że zostanę Franklinem. A otóż teraz tu jestem.

### Haniebne prześladowanie chłopca.

W San Francisco został temi dniami „chłopak porządnie ubrany w drodze do szkoły niedzielnej aresztowany i do miejskiego więzienia zaprowadzony, gdyż rzucał kamieniami na chińczyków”





Jakiż to wyborny komentarz do ludzkiej sprawiedliwości! W jak smutnem świetle okazuje się ludzka skłonność tyranizowania słabych! San Francisco nie może się pochlubić z tego obejścia się z chłopcem. Jakież wychowanie odebrało to dziecię? Czy i w jaki sposób mogło ono przypuścić, że działa niesłusznie kamienując chińczyków? Do czasu póki z obrażeniem San Francisco nie wystąpimy przeciw chłopcu, zechcemy dać mu sposobność obrony — wysłuchajmy dowodów i świadectw przemawiających na jego korzyść.

Był to chłopak „porządnie ubrany” i uczeń szkoły niedzielnej, więc według wszelkiego prawdopodobieństwa rodzice jego byli ludźmi wykształconymi i zamożnymi i posiadali zapewne tę brzydką a tak naturalną skłonność czytania dzienników: tedy chłopak ten miał sposobność poznania co dobre a co złe, nie tylko w niedzielę ale przez cały tydzień.

W ten sposób przekonał się, że wielka republika kalifornijska opodatkowuje nieprawie John'a <sup>1)</sup> obcokrajowca, z powodu jego czynności dobywania złota, a Patrick zezwala obcemu szukać złota bezpłatnie — prawdopodobnie dlatego, że ten niemoralny i podły mongoł nic nie traci na wódkę, podczas gdy wysoko wykształcony celt bez niej żyć nie może.

Postępując tą drogą dowiedział się, że znaczna ilość poborców podatkowych — byłoby to niegrzecznie powiedzieć wszyscy — ściągą podwójne podatki niezadawalniająco się zapłatą jednorazową i czyni to

<sup>1)</sup> Przewisko chińczyków w Ameryce.

jedynie w tym celu, by zniechęcić przybyszów chińskich do osiedlenia się w okolicach min złotych; jest to procedura, wywołująca poklask ogólny i zarazem jest uważaną za wyborny dowcip.

W ten sposób odkrył, że jeśli biały okradnie miłą złotą (pod wyrazem biały rozumieją: hiszpana, meksykańczyka, irlandczyka, peruwiańczyka, chilijskiego etc., etc.) zostaje zmuszony do opuszczenia obozu, a robi to chińczyk, wieszają go natychmiast.

W ten sposób odkrył, że w wielu okolicach olbrzymich brzegów cichego oceanu tkwi w sercu ludzi tak głęboko i silnie owa swobodna a dzika miłość sprawiedliwości, że skoro popełniono gdzieś skrytą lub tajemniczą zbrodnię, ludzie ci krzyczą: „Uczyńmy sprawiedliwość, choćby się niebo miało zapaść” — i bez namysłu wieszają chińczyka.

W ten sposób odkrył on, że jeśli się studjuje jedną połowę codziennych „wiadomości miejscowych”, nabywa się przekonania, że policya w San Francisco albo usnęła albo wymarła, gdy znów druga połowa naprowadza nas na myśl, że reporter dziennikarski oszalał z powodu podziwiania energii, cnoty, nieustraszonej odwagi i doniosłego następstwa działalności tejże samej policji — gdyż połowa ta z radością donosi, jak „argusowy urzędnik Takitak” złapał podłego łotra chińczyka, kradnącego kurczę i tryumfalnie odprowadził go do więzienia, i jak „dzielny urzędnik Takitak” spokojnie patrzył na „poważnie kroczącego syna Konfucjusza o migdałowem oku” (reporter dziennikarski musi być zawsze dowcipnym), patrzył owym wzrokiem melancholiz-

nego nie niewiedzenia i niewiedzenia, gdyż niezbadana ta istota, zwana czterdziesto-dolarowym politycym, umie zawsze tak wybornie udawać spokój a jednak nie spuszczać podejrzanego z oka i uwagi, aż wreszcie przychwycił go w chwili, gdy w podejrzany sposób chińczyk położył rękę na paczkę szpilek; i jak ten urzędnik, i drugi, i trzeci wykonali czyn chwalebny — a każdy czyn miał jako bohatera chińczyka winnego zbrodni kradzieży wartości jednego szyllinga; nieszczęśliwi ci, których występki okrzyczano jako coś strasznego, służą w tym celu, by odwrócić uwagę publiczności od prawdziwych zbrodniarzy bezkarnie spacerujących i pokazać, że ta wychwalana policja jest bardzo przecenianą.

W ten sposób odkrył on, że nasze prawodawstwo w poczuciu uczynienia z Ameryki azylu dla wszystkich biednych i nieszczęśliwych, chroniących się na tę ziemię, wydało rozporządzenie, na mocy którego każdy chińczyk przy lądowaniu musi na pokładzie przebyć szczepienie ospy i płaci urzędnikowi państwowemu za to dziesięć dolarów, podczas gdy w San Francisco jest mnóstwo lekarzy, którzyby z przyjemnością to samo zrobili za pięćdziesiąt centymów.

W ten sposób odkrył on, że chińczyk nie posiada żadnych praw, że nie jest zdolnym do uczucia boleści, że jego życie i wolność nie warta grosza, jeśli białą zapotrzebuje kozła ofiarnego swego występku; że nikt nie lubi chińczyków, że nikt nie wyświadczy im przysługi przyjacielskiej, że nikt nie oszczędzi im przykrości; że wszyscy — indywidua i gminy a nawet

Wasz Majestat, państwo — ożywieni są jedną myślą, by nienawidzić, zniesławiać i prześladować tych skromnych przybyszów.

I coś dziwnego, że chłopiec ten z niewinnym sercem, z umysłem nastrojonym w kierunku tych wzniosłych i szlachetnych zasad wyżej wymienionych, idąc do szkoły niedzielnej, a widząc chińczyka pomyślał sobie:

„Ach, oto idzie chińczyk! Bóg mnie kochać nie będzie, jeśli nie rzucę na niego kamieniem”.

Spełniwszy to został aresztowany i do więzienia zaprowadzony.

Wszystko przemawiało w jego umyśle, że kamienowanie chińczyka jest świętym i zacnym czynem, jednak zaledwie ten zamiar do skutku doprowadził, zaledwie spełnił swój obowiązek został ukarany — on, ten biedny chłopiec, który w ciągu swego życia nabył tego głębokiego przeświadczenia, że najmiłą zabawą policji jest spokojne przypatrywanie się, jak rzeźnicy szczują swe psy na niewinnych chińczyków i w ten sposób zmuszają ich do ucieczki<sup>1)</sup>.

Jeśli zasady miłości bliźniego udzielane młodzieży na brzegach cichego oceanu, mają przynieść rzeczywisty pożytek, to zaiste w tem enotliwym uniesieniu ojców miasta San Francisco przejawia się wznio-

<sup>1)</sup> Przypominam sobie wiele takich faktów, mam tu jednak na myśli jeden tylko. Było to na ulicy Brann: chińczyk z koszem bielizny na głowie szedł sobie spokojnie, wtem rzeźnik poszczuł psa, a gdy ten wjadł się w łydkę, rzeźnik aby rozweselić towarzystwo wybił chińczykowi kilka zębów rzuconą

sła naiwność, by — jak się to rzeczywiście stało — wydać rozkaz policji, aresztowania wszystkich chłopców, jeśli by się ośmielili zaczepiać chińczyków.

Bądź cą bądź, cieszymy się z tego rozporządzenia mimo naiwności i wierzymy w radość policji, gdyż przy przypuszczalnym aresztowaniu chłopców policja nie jest narażoną na osobiste niebezpieczeństwo a reporterzy dzienników będą ją tak samo chwalić jak dotychczas, w przeciwnym razie zabrakłoby im materiału, zmienią tylko formę „wiadomości miejscowych”, które teraz tak brzmiąć będą:

„Zawsze czynnemu i baczemu urzędnikowi policji Takitak udało się wczoraj popołudniu, chłopczyka Tommy Jones po uporczywej walce odpornej aresztować” etc., etc.; poczem nastąpi zwykły dodatek danych statystycznych i wykrzyknie pełen nieświadomego sarkazmu: „Z wysokiem zadowoleniem notujemy, że jest to czterdziesty siódmy chłopak, którego ten dzielny urzędnik złowił od czasu wydania nowego rozporządzenia. W policji panuje olbrzymia czynność i energia, którą nigdy dotychczas nie spostrzeżliśmy, jeśli nas w tym razie nasza pamięć nie myli”.

cegłą. Być może, iż fakt ten dlatego utkwiał w mej pamięci, że gdy go chciałem podać do wiadomości publicznej jako współpracownik jednej z gazet San-Francisco, odmówiła mi redakcyja, podając jako przyczynę, iż panujący tam element czułby się tem obrażony.

## G o l a r z e .

Wszystko na świecie podlega zmianom, tylko nie golarze; ich maniere i otoczenie nigdy się nie zmieniają. To, co się przeżyje i dozna u golarza wstępując po raz pierwszy w jego progę, to samo będziesz doznawał do końca twego życia.

Tego poranku chciałem się jak zwykle ogolić i gdy się zbliżałem do drzwi ze strony jednej ulicy, przyspieszył się ktoś ze strony przeciwnej ulicy. Przyspieszyłem kroku, lecz trud mój był daremny, człowiek ten wyprzedził mnie o maleńki krok, ja byłem tuż za nim i ujrzałem, że zajął jedyne wolne krzesło — obsługiwane przez najlepszego balwierza. Tak się dzieje ze mną prawie zawsze. Usiadłem w nadziei, że wpadnę w ręce lepszemu z dwu pozostałych balwierzów, gdyż jeden zaczął czesać włosy swego pacjenta, a jego kolega zaledwie rozpoczął wcieranie pomady i olejku. Z żywym zainteresowaniem badałem prawdopodobieństwo ukończenia. Gdy widziałem, że nr. 2 dogania nr. 1, ciekawość moja przemieniła się w obawę. Gdy nr. 1 wstrzymał się, by kupującemu bilet kąpielowy wydać i w ten sposób pozostał w tyle w tych gonitwach, obawa moja wzrosła do rozmiarów oburzenia i strachu. Gdy nr. 1 znów rozpoczął swą czynność i równocześnie ze swym kolegą odjęli ręczniki, ścierali puder z twarzy kundmanów, a szansy ukończenia pomiędzy nr. 1 a nr. 2

były zupełnie równe, gorączka oczekiwania powstrzymała mi oddech, lecz gdy w chwili kulminacyjnej nr. 1 się powstrzymał, by pociągnąć grzebieniem brwi gołącego się, ujrzałem że przegrał nr. 1 i oburzony opuściłem balwinię, aby tylko nie popaść w ręce nr. 2, gdyż na nieszczęście nie posiadam tej cywilnej odwagi, uzdolniającej człowieka do powiedzenia oczekującemu golarzowi, że zaczekam na jego towarzysza.

Przez piętnaście minut byłem na ulicy, następnie wszedłem pełen najlepszej nadziei. Tymczasem wszystkie krzesła były zajęte, a prócz tego czterech ludzi czekało, milcząc, ponuro, nietowarzystwo, jak w ogóle wszyscy oczekujący na swoją kolej w balwini. Usiadłem na starej sofie i pierwsze chwile zabijałem odczytując tytuły kosmetyków pisanych w najrozmaitszych językach, następnie odcyfrowałem nazwiska osób prywatnych, umieszczone na różnego rodzaju flaszeczkach, liczyłem półki szafy, studowałem brudne i uszkodzone a tanie obrazy bitw, dawnych prezydentów, półnagich tureczek i tę nudną a wszędzie spotykaną rycinę młodego dziewczęcia nakładającego okulary dziadkowe, przeklinałem krzykliwego kanarka i piszącego drozda, wreszcie wyszukałem sobie najmniej podarty i zawalany dziennik humorystyczny i przeglądałem karykatury przebrzmiałych faktów.

W końcu przyszła kolej i na mnie. Jakiś głos wyrzekł „następny” i ja poddałem się — naturalnie nr. 2. Tak to zawsze bywa. Uprzejmie rzekłem, że spieszę się, a słowa te wzruszyły go tak głęboko,

jak gdyby je słyszał po raz pierwszy. Podniósł mi głowę i położył ręcznik pod brodę, manipulował coś koło kołnierzyka i przymocował tam ręcznik. Swemi paznogciami dotknął się mych włosów i dał mi do zrozumienia że należy je obciąć. Odrzekłem, że nie chcę tego. Po raz wtóry zagłębił swe pazury w moje włosy i zauważył, że ze względu na panującą modę należałoby je podciąć, zwłaszcza z tyłu. Odpowiedziałem, że przed ośmioma dniami już to zrobiłem. On popatrzył na włosy uważnie, a potem zapytał lekceważąco, kto mnie postrzygał. Rzekłem wprost „pan sam” — otóż go złapałem. Wreszcie rozpoczął wytwarzać pianę z mydła, przeglądając się ciągle w lustrze, badając krytycznie swą brodę lub niszcząc pryszczki. Nareszcie zaczął nacierać mydłem jedną stronę mej twarzy i właśnie zamierzał przejść do drugiej strony, gdy walka psów na ulicy skłoniła go do wyjrzenia przez okno, tam stanął i przypatrywał się do końca, przy czem przegrał zakład dwu szyllingów do swego kolegi, co mnie ucieszyło. Ukończył wreszcie wcieranie mydła, przy której to sposobności pociągnął pędzlem dwa razy moje usta i począł ręką umacniać wcieranie a dyskutując ze swym towarzyszem o walce psów wpakował mi w usta znaczną ilość piany mydlanej, wprowadził nie spostrzegł on tego, ale ja tem więcej.

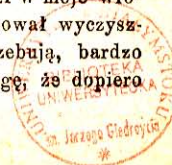
Teraz ostrzy brzytwę na starym rzemyku od spodni, przy tej czynności powstrzymał się rozprawiając o wczorajszym balu maskowym, jednym z tańszych, na którym on figurował jako król w czerwonym płaszczyku i fałszywych sobolach. Był tak dalece zadowolony, że złączenia jego nazwiska z pe-

wną kobietką, którą oczarował swemi wdziękami, że używał wszelkich sposobów. by tę rozmowę przedłużyć, udając znużenie z powodu dowcipów jego kolegów. Następnym tej rozmowy było przejście się w lustrze, brzytwę odłożył i czesał swe włosy z wyszukaną troskliwością, rozdzielił swe włosy z tyłu na dwie równe połówki i szczotkował zawzięcie skrzydła nad uszami. W tym czasie mydło na mej twarzy wysychało i wjadało się w część szlachetniejszą.

Rozpoczął w końcu golenie, naciągając mi skórę palcami, by ją zrównać, od czasu do czasu robiąc z mego nosa trzonek, głowę moją odwracając to w tę to w ową stronę, o ile wymagała tego operacya i w miły sposób kaszlał lub spluwał.

Póki on golił boczne strony mej twarzy nie nie cierpiałem, lecz skoro przyszedł do mej brody łyż stanęły mi w oczach. Nie uważałem na to, że on się zbyt spoufala z moją twarzą, nie zwracałem już uwagi na cuchnący czosnek, gdyż prawdopodobnie wszyscy golarze zajadają ten specyał; lecz on miał coś w sobie, co budziło we mnie obawę, że on zbyt łatwo zechce się zapoznać z wewnętrzną organizacyą mego ciała. W tej chwili włożył mi swój palec w usta, chcąc sobie pomódz w wygolaniu mych kącików wargowych, a fakt ten poprowadził mnie do odkrycia, że wypełnia on w balwierni także obowiązki czyszciciela lamp naftowych. Byłem bardzo ciekaw i często zapytywałem sam siebie, kto pełni te obowiązki, czy subjecki czy też właściciel, dziś dowodnie przekonałem się o tem.

Dla przepędzenia nudnego czasu bawiłem się odgadywaniem, w którym miejscu on mnie dziś prawdopodobnie zatnie; lecz on mnie w tem uprzedził i okaleczył koniec mej brody, zanim ja mogłem tę kwestyę rozstrzygnąć. Zaczął ostrzyć swą brzytwę — co powinien był przedtem uczynić. Nie jestem zwoleńnikiem zbyteńnego wygalańia i z tego powodu nie chciałem powtórnego golenia; uśiwołem tedy skłonić go do odłożenia brzytwy, albowiem obawiałem się, by on nie tknął mej delikatnej części podbródka, nieznoszącej powtórnego golenia pod zagrożeniem bólu i pryszczenia. Lecz on zapewnił mnie, że chce zrównać tylko niektóre nierówności i w tejże chwili brzytwa jego pobiegła po zakazanem miejscu a bolesne następstwa nie dały na siebie i sekundy czekać. Teraz dopiero umoczył on ręcznik w czerwonym płynie i w obrzydliwy sposób przykładał go do całej mej twarzy — jak gdyby w ogóle ludzka istota kiedykolwiek tak się myła. Następnie obcierał twarz moją tak, jak gdyby w ogóle ludzka istota kiedykolwiek tak się obcierała. Dalej umoczył ręcznik w czerwonym płynie i przyłożył do zaciętego miejsca, następnie zalepił ranę proszkiem białym i znów przyłożył mokry ręcznik i bez wątpienia nie ustałby nigdy w tej czynności, gdybym ja nie zaproponował i nie uprosił go sprawę tę zostawić naturalnemu biegowi rzeczy. Wówczas zaczął pudrować całą twarz i palcami wjechał w moje włosy badając je krytycznie, i zaproponował wyczyszczenie włosów, gdyż one tego potrzebują, bardzo potrzebują. Ośmieliłem się zrobić uwagę, że dopiero



wczoraj czyściłem ich sam w kąpieli i znów go zła-pałem. Następnie radził mi zakupić pomadę Smitha—odmówiłem—zachwalał mi nową permufę „Jona—koszki toaletowe”—odmówiłem—wreszcie pastę do czyszczenia zębów własnego wynalazku— a gdy odmówiłem chciał mnie zmusić do kupienia brzytwy.

Gdy odrzuciłem i tę propozycję, wówczas powrócił do swej czynności, obyspał pudrem całe moje ciało nie wykluczając nóg, pomadował mimo mego protestu moje włosy, tarł, czesał i targał je a wyrwawszy mi znaczną ich ilość resztę zawzięcie czesał i szczotkował i w chwili, gdy cienkie brwi moje czesał grzebieniem i pomadował, zabawiając mnie opowiadaniem o zdolnościach swego czarno i brunatno nakrapianego jamnika, usłyszałem świst lokomotywy południowego pociągu, na który się o pięć minut spóźniłem. Teraz zerwał mi ręcznik z pod brody, potarł nim zlekka twarz moją, raz jeszcze pociągnął grzebieniem po moich brwiach i wesoło zanucił „następny”.

W dwie godziny później golarz ten padł na ziemię tknięty apopleksją. Jeszcze jeden dzień zaczękam a potem się zemszczę—pójdę na jego pogrzeb.

## Moja zbrodnia.

Oto moja delikatna satyra na wybiegi finansowe zwane „gotowaniem dywidendy”, procedury, która bezwstydnie zapanowała przez czas jakiś na brzegach oceanu Atlantyckiego.

W naiwności mego ducha poczułem raz, że czas już nadszedł powstać i wystąpić jako reformator. Tę moją reformatorską satyrę ubrałem w postać straszliwej „zbrodni w Empiro-City!”

Dzienniki z San-Francisco podniosły wielki krzyk bóleści nad podłością danaejskiego towarzystwa wydobycia srebra, którego dyrektorowie ogłosili „gotowaną” czyli fałszywą dywidendę, celem podniesienia wartości akcji i sprzedawszy je w korzystnych warunkach, uniknęli szczęśliwie katastrofy przy upadku towarzystwa. I podczas gdy te dzienniki zniesławiały danaejskie towarzystwo, nie zaniedbały równocześnie wezwać publiczność do zakupywania pewnych akcji San-Francisco jak n. p. towarzystwa kanalizacyi Spring-Valley etc. Aż oto w tej nieszczęsnej chwili ugotowało Spring-Valley również fałszywą dywidendę! Tedy postanowiłem pod maską urojonej „zbrodni” podać publiczności krwawą satyrę na ów system gotowania dywidendy. Wydrukowałem pół spłaty zawierającej urojone morderstwa, jak pewien obywatel zabił swą żonę i dziewięcioro dzieci a następnie sam sobie życie odebrał. I chytrze dołączyłem w notatce, że to nagłe szaleństwo, którego rezultatem była okropna zbrodnia, powstało z podszeptów dzienników kalifornijskich namawiających go do sprzedania pewnych akcji Nevada a zakupna papierów Spring-Valley— i to dość wcześniej by się złapał na urojonej dywidendzie i cały swój ziemski majątek do ostatniego grosza stracił.

Ach, była to głęboka, bardzo głęboka satyra i znakomicie przeprowadzona. Lecz okropne szczegóły

podaję tak sumiennie i interesująco, że publiczność *te* gwałtownie polykała a następnie wyraźnie podane fakta zupełnie pomijała, mianowicie: — Morderca był każdej istocie ludzkiej w kraju bardzo dobrze znanym jako *człowiek bezżenny*, więc nie mógł zamordować swej żony i dziewięcioro swych dzieci. Następnie: On je zamordował „w swym pysznym pałacu z gładzonego kamienia na rogu wielkiego lasu jodłowego pomiędzy Empire City i Dutsch Nicks”, podczas gdy nawet zamknięte ostrygi na naszych stołach wiedzą, że w całej ziemi Nevada nie ma żadnego „domu z gładzonego kamienia”, i że prócz tego ów „wielki las jodłowy pomiędzy Empire-City a Dutsch-Nicks” nie może istnieć, bowiem w promieniu mil piętnastu nie ma ani jednego drzewa; w końcu jest rzeczą ogólnie wiadomą, że Empire-City a Dutsch-Nicks oznaczają toż samo miejsce i składają się wszystkiego z sześciu domów, tedy *między* nimi las istnieć nie może, i by wreszcie wszystko to ukoronować, napisałem, że dyabelski ten morderca zadawszy sobie tak straszną ranę, iż każdy skoń padłby od niej na miejscu, siadł na konia, pędził cztery mile wywijając dymiącą skórą z głowy swej żony i wobec olbrzymiego zbiegowiska ludności z Carson City padł trupem przed głównym szynkiem — ku zazdrości i podziwieniu zebranych widzów.

No, nie widziałem jeszcze nigdy w całym mem życiu takiej sensacji, jaką wywołała ta mała satyra. Ona była przedmiotem rozmowy całego miasta, całego nawet kraju. Największa część obywateli roz-

poczęła czytać ją niewinnie przy śniadaniu i nie dokończyli już jedzenia, — te wiernie i zgodne z prawdą szczegóły, miały dar szczególny zastępowania wszelkiego pożywienia. Mało było ludzi czytających tego poranku, którzyby jedli lub pili śniadanie.

Dan i ja — Dan był moim towarzyszem z urzędu reporterskiego — zajęliśmy nasze zwykłe miejsca u stołu w restauracji pod orłem i w czasie gdy rozwijałem szmatę, zwaną tam serwetą, ujrzałem przy najbliższym stole dwu filistrów — w sukniach ze śladami pyłu roślinnego, wskazującego dowodnie, że ludzie ci przyjechali z Truckee z ładunkiem siana. Jeden z nich naprzeciw mnie siedzący rozłożył poranną gazetę i nie potrzebując objawienia wiedziałem, że odczytuje szpalte, zawierającą moją finansową satyrę. Widząc go wzruszonym i mrużącym niewyraźne słowa, dorozumiewałem się, że ten spokojny obywatel z pod kopic siana czem raz szybciej czytał, by tylko dojść do krwawych szczegółów, w ten sposób uszły jego uwagi owe drogowskazy, które ja postawiłem, chcąc wykazać czytelnikowi urojenie całej zbrodni. I w chwili, gdy jego usta się otworzyły, by przyjąć niesiony przez widelec ziemiak, rozwarł oczy szeroko, ziemiak stanął w drodze, twarz spąsowiała i cały człowiek z wielkiego wzruszenia stanął w płomieniach. Następnie począł gwałtownie chwycić szczegóły — ziemiak wystygł w powietrzu, a gdy usta czyniły usiłowania pochwylenia owego ziemiaka, nagle się zwracały przestraszone straszliwymi czynami mego bohatera. Wreszcie spoglądają

na swego odurzonego i przestraszonego towarzysza wyrazistym okiem i przemówił drżącym głosem:

„Iim, on zabił swe pisklęta a swej starej ściągął skórę z głowy. Przeklęcie, zepsuł *mi* cały apetyt!”

Po tych słowach rzucił zimny ziemiak na talerz, i wraz ze swym towarzyszem opuścili restauracyę z pustym żołądkiem, jednakowoż obaj nasyceni.

On nie przeczytał tego ustępu, który traktował część satyryczną mego artykułu; w ogóle nikt tego nie czynił; każdy miał dosyć przeczytawszy straszliwe szczegóły. W końcu tak pysznej zbrodni umieścić morał, to równało się iść ze świecą za zachodzącym słońcem i spodziewać się, że świat na nią zwróci uwagę.

Myśl, by ktokolwiek moją zbrodnię traktował jako faktyczne zdarzenie, myśl taka była dla mnie zupełnie obcą, zwłaszcza, że z umysłu dodałem takie nieprawdopodobieństwa jak „wielki las jodłowy” „dom z głądzonego kamienia” etc. Lecz przy tej sposobności odkryłem, czego nigdy nie zapomnę, że prawie nigdy nie czytamy poważnych rzeczy dodatkowych przy wielce zajmującym fackie, naturalnie z wyjątkiem, jeśli jaki pisarek nieodpowiedzialny chce nas oszukać, a my o tem wiemy; zresztą przeskakujemy zdania, byle jak najprędzej napawać się krwią pachnącemi szczegółami.

## Szczególna podróż <sup>1)</sup>.

„Otrzymaliśmy odezwę tu załączoną, a ponieważ traktuje ona pewną sprawę zarówno z głębokiego, jako też ogólnego stanowiska i interesu, tedy uważaliśmy za rzecz zupełnie słuszną pomieścić ją w naszej części redakcyjnej. Jesteśmy przekonani, że nasze postępowanie w tym razie tylko wyjaśnienia potrzebuje, żadnego zaś usprawiedliwienia.

*Redakcyja Newyork Herald*”

### O d e z w a.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność, że wraz z panem Barnum wydzierżawiłem na pewien przeciąg czasu komety; i zarazem ośmielać się prosić P. T. Publiczność, by raczyła łaskawie poprzeć to nasze dobroczynne przedsięwzięcie.

Jest naszym zamiarem urządzić na komecie wygodne a nawet bardzo szykowne pomieszkania odpowiednio do ilości osób, chcących nas zaszczyścić swemi względami i pragnących przedsięwziąć olbrzymią wycieczkę do ciał niebieskich. W ogonie komety urządzimy 1.000.000 prawdziwie pańskich pokojów (każdy opatrzony zimną i gorącą wodą, gazem, lustrem, parasolem i t. d.), a ilość tę możemy powiększyć, jeśli

<sup>1)</sup> Ogłoszona w lecie r. 1874 w czasie „strachu kometowego”.



tylko spotkamy się z wspaniałomyślnem zachęceniem. Otworzymy osobne sale bilardowe, do kart, koncertowe, do kręgli, kilka sal teatralnych i bibliotecznych; a na wierzchnim pokładzie zamierzamy urządzić wspaniały park do jazdy konnej i powozowej, z drogą żwirową przeszło 10.000 mil się ciągnącą. Również wychodzić będą pisma codzienne.

#### *Odjazd komety.*

Kometa opuści Newyork dnia 20 b. m. o dziesiątej godzinie wieczorem, byłoby tedy do życzenia, by życzliwi pasażerowie najdalej na ósmą godzinę wieczorem przybyli, a to celem uniknięcia wszelkich nieporozumień i zamieszania. Nie wiadomo, czy paszporta będą potrzebne lub też nie, lepiejby jednak zrobili goście, by się w nie zaopatrzyli na każdą ewentualność. Psów nie wolno ze sobą zabierać, wielu ludzi bowiem znosić ich nie może. Nad bezpieczeństwem pasażerów będzie się nieustannie czuwać ze szczególną troskliwością. W około całego komety jest ustawiona silna poręcz żelazna i nikomu się nie dozwoli jej przekroczyć lub nad nią się przechylić, chyba w mojem towarzystwie lub mego spółnika.

#### *Służba pocztowa.*

Będzie prowadzoną z możebną dokładnością; naturalnie, że telegraf i telefon będą w ruchu, tak że przyjaciele oddaleni od siebie 20.000.000 nawet 30.000.000 mil a mieszkający w eleganckich pokojach, będą w możności w ciągu dni jedenastu odbierać i przysyłać wiadomości. Depesze nasze liczą się o połowę

taiej. Olbrzymia ta poczta zostaje pod osobistym kierunkiem pańów Hale z Menu i D ra Stephan z Berlina. Obiady o każdej porze dnia i nocy. Obiady podawane w pokojach będą osobno liczone. Wcale się nie obawiamy nieprzyjaznych kroków ze strony wielkiego planety, jednakowoż uważaliśmy za stosowne dla większej pewności zaopatrzyć się w odpowiednią ilość moździerzów, ammat obłączniczych i dalekonośnych. Dzieje pouczają nas, że małe, oddzielone od biegu świata gminy, jak n. p. mieszkańcy wysp oddalonych są skłonni do nieprzyjacielskich kroków przeciw obcym przybyszom, tedy i tu może zająść ten wypadek

#### *„z mieszkańcami gwiazd”*

dziesiątej i dwudziestej wielkości. W żadnym razie nie ubliżymy lekkomyślnie mieszkańcom jakiegokolwiek gwiazdy, lecz wszystkich będziemy traktować z równą grzecznością i przyjaźnią, i nigdy nie zajmujemy wobec Asteroidy takiego stanowiska, jakiego balibyśmy się zająć wobec Jupitera lub Saturna. Raz jeszcze powtarzam, że lekkomyślnie nie ubliżymy żadnej gwiazdzie; lecz z drugiej strony, jeśli nas spotka niesprawiedliwość lub sromota, bądź to od osób prywatnych bądź też od rządów jakiegokolwiek gwiazdy na firmamencie, pomścimy się bezzwłocznie. Chociaż nie jesteśmy zwolennikami przelewu krwi, przy naszych prawach będziemy stać nieustraszenie i nieugięte i to nie tylko wobec jednej gwiazdy, lecz nawet wobec całej grupy gwiazd. Tuszymy sobie, że na każdym narodzie, którego oświadczymy — od Venus do Uranusa — Ameryka zrobi dobre wra-

zenie. I jeśli nie wpoimy miłości, to przynajmniej wszędzie, gdzie będziemy, będą musieli uszanować i uzczyć naszą ojczyznę.

Weźmiemy bezpłatnie

„wielkie tłumy misjonarzy”,

k którzy rozszerzą prawdziwe światło po wszystkich ciałach niebieskich jasno świecących światłem fizycznym, lecz pod względem moralnym zostających jeszcze w ciemnościach. Zaprowadzi się również przymusowa nauka.

Kometa najpierw odwiedzi Marsa, następnie Merkurę, Jupitera, Venus i Saturna. Pasażerowie, którzy zostają w stosunkach z rządem dystryktu Columbi i z dawnym zarządem Newyorku i życzyliby sobie obejrzeć rynki, takim pasażerom poczynią się wszelkie ułatwienia. Odwiedzimy każdą gwiazdę wybitnej wielkości i wyznaczy się dostateczny przeciąg czasu na wycieczki do ciekawych okolic wewnątrz kraju.

#### *Psia gwiazda*

została z programu wykreśloną. Na odwiedzin wielkiego niedźwiedzia i każdej grupy gwiazd przeznaczają się czas odpowiednio długi, stosuje się to także do słońca, księżycy i mlecznej drogi. W ubiory odpowiednie do noszenia na słońcu każdy powinien się zaopatrzyć. Nasz program jest tak ułożony, że my rzadko kiedy więcej nad 100.000.000 mil bez odpoczynku przejedziemy; z tego powodu przystanki z konieczności będą częstsze, a przez to zainteresowanie się turystów nie ustanie na chwilę. Karty pakunkowe będą wydawane na każdy punkt naszej

drogi. Osoby, któreby sobie życzyły odbyć tylko jedną część projektowanej podróży, by przez to oszczędzić sobie kosztów, mogą wysiąść na jakiegokolwiek gwiazdździe i tam oczekiwać powrotu.

Odwiedziwszy w ten sposób najślawniejsze gwiazdy i grupy tychże naszego systemu, gdy i najbardziej oddalone iskierki, niewidzialne najlepszą lunetą, osobście odwiedzimy, wówczas pełni odwagi przedsięweźmiemy:

„zadziwiającą podróż”

celem odkrycia niezliczonych światów, uwijających się w olbrzymich przestrzeniach, rozciągających swe uroczyście pustynne istnienie w bilionach i bilionach mil, tak że to, co my patrząc z ziemi firmamentem nazywamy, to okaże się nam jako maleńki błyszczący punkcik pod nami, który mógł wprowadzić nas zainteresować, lecz obecnie wydaje się drobnym i nieznacznym faktem, graniczącym z trywialnością i nudami. Dzieci siedzące przy pierwszym stole płacą na równi z dorosłymi.

#### *Cena pierwszej klasy*

z ziemi do Uranus'a, łącznie z odwiedzinami słońca, księżycy i wszystkich głównych planet przydrożnych, oblicza się nieznaczną kwotą dwa dolary za każdą odległość 50.000.000 mil. Podróżującym, biorącym udział w całej podróży przysługuje znaczne obniżenie kosztów. Moja kometa jest nową, doskonale zbudowaną i przedsięwzięta pierwszą swą podróż. Szybkość jej biegu jest zadziwiającą, dziennie prze-

bywa 20.000.000 mil, lecz obsadziwszy naszą kometę wyborową służbą amerykańską i przy sprzyjającej pogodzie przebiegnie pewnie 40.000.000 mil. Jednakowoż jest surowo wzbronionem przyspieszać szybkość jej do niebezpiecznych granic lub też ścigać się z innymi planetami. Ci z podróżujących, którzyby chcieli obejrzeć inne światy lub też wrócić na ziemię, będą w możności przesiadywania się na inne komety, stoimy bowiem w związku ze wszystkimi głównymi liniami i gwarantujemy wszelkie bezpieczeństwo. Nie można bowiem zaprzeczyć, że niebo roi się od

„starych zmurszałych komet”,

które od 10 000 lat nie były badane i rewidowane i które od dawna już powinny być przemienione na mgły lub też zupełnie zniszczone, jednakowoż my z temi kometami nie zostajemy w żadnym związku. Pasażerom trzeciej klasy nie wolno przechodzić się po pokładzie.

Powodowani grzecznością rozesłaliśmy bezpłatne bilety, generałowi Butler, pp. Shepherd, Richardson i innym wielkim mężom, których zasługi położone około dobra ludzkości nakazywały nam ułatwienie im sposobności tak milej i pełnej rozrywek podróży. Osoby, które całą podróż odbyć zamierzają, będą szczególnie uprzywilejowane. Podróż zostanie ukończoną 14 grudnia 1991 r., i w dniu tym pasażerowie wsiądą w Newyorku. Czas ten jest najmniej o 40 lat krótszy, aniżeli czas podróży innych komet. Prawie wszyscy deputowani, którzy nie uisicili się ze swych długów wezmą udział w tej podróży, jeśli tylko wy-

borcy na takie ferye im zezwolą. Każda niewinna rozrywka jest dozwoloną na naszym pokładzie, jednakowoż gry hazardowe i zakłady o bieg komety zakazują się. Wszystkie gwiazdy stałe będą uszanowane, zaś te, które stałości potrzebują, będą przez nas ustalone; jeśli to nasze usiłowanie spowoduje nieprzyjemności, będzie to dla nas przykrem, ale od naszego zamiaru nie odstąpimy.

Ponieważ pan Coggia nam wydzierżawił swą kometę, tedy będzie ona nosiła już nazwisko mego współnika. — Notabene! Pasażerowie mogą uzyskać prawo do współudziału w zdobyczach odkryć się mających wszystkich nowych gwiazd, słońc, księżyców, komet, meteorów i magazynów grzmotów i błyskawic, jeśli zapłacą podwójną cenę podróży. Zwracamy uwagę ludzi, którzy sprzedają patentowaną wiedzę medyczną, że zabieramy ze sobą

„afisze”

wraz z penzlem i kłajstrem, z których to przedmiotów można robić odpowiedni użytek w przejeździe około gwiazd i że nasze warunki są bardzo przystępne. Przyjaciele palenia zwłok niechaj nie zapominają, że jedziemy wprost — w krainy gorące — a nasze ceny są względnie bardzo niskie. Dla innych jest nasze przedsięwzięcie wycieczką — dla nas indywidualnie także interesem.

*Blüszq wiadomość*

lub też o cenach frachtu i innych dogodnościach można się dowiedzieć na pokładzie lub u mego spół-

nika, tylko nie u mnie, gdyż odpowiedzialność moja rozpoczyna się z chwilą wyjazdu. W takim czasie, jak dzisiejszy, duch mój nie może się trudnić małemi, kupieckimi szczegółami.

Mark Twain.

## Mowa na szkockim bankiecie w Londynie.

Przy sposobności uroczystego obchodu rocznicy szkockiego towarzystwa w Londynie, w poniedziałek wieczorem, miał Mark Twain mowę w odpowiedzi na toast „Vivat damy”. Podług sprawozdania „Londyńskiego Observer”, mowa ta brzmiała:

„Rzeczywiście jestem dumny z tego odznaczenia, że mnie wybrano, bym odpowiedział na *ten* toast; na toast „damski”, a raczej jeśli pozwolicie „niewieści”; takie bowiem określenie jest mi miłsze, w każdym razie jest to tytuł starszy; tedy ma więcej prawa do naszego szacunku. (Śmiechy). Zauważyłem, że biblia ze swą skromną, niewyszukaną prostotą, która nadaje jej niezatarte piętno pisma świętego, troskliwie się wystrzega użyć słowa „damy”, nawet gdy mówi o sławnej matce rodu ludzkiego, innego słowa prócz „niewiasty” nie używa. (Śmiechy). Jest to rzeczą szczególną, lecz możecie się przekonać, że tak jest w istocie. Jestem tedy bardzo dumny z zaszczytu, który mnie spotkał, sądzę bowiem, że toast na cześć dam powinien wyprzedzić i to należy mu

się z prawa, wszystkie inne toasty według wszelkich przepisów galanterji — a więc toast na cześć armii, floty, nawet domu królewskiego — chociaż ten ostatni w tym dniu i w tym kraju jest niebardzo koniecznym, gdyż pijąc na cześć niewiast w ogóle, każdy z nas w duchu pomyśli o królowej i księżniczce Walii. (Wielkie brawo). W tej chwili przypominam sobie pewien wiersz, znany wam wszystkim, znany każdemu. Co za wzniosłe natchnienie w nim się przebija — i jak niniejszy toast nam je żywo przypomina! — gdy najszlachetniejszy, najmiłszy, najpiękniejszy i najczystszy poeta mówi:

„Niewiasto! o niewiasto! — ee — ee —  
„Niewiasto — —”

(Śmiechy). Lecz zapewne przypominacie sobie te słowa, i pamiętacie, jak czule, jak składnie, wiersz po wierszu kreśli nam ideał prawdziwej i doskonałej niewiasty, i gdy oglądacie ten cud stworzony techniem poety, barwą słów, w duszy waszej budzi się uwielbienie. A teraz niechaj odrysują się przed nami dzieje tego pięknego dziecięcia serca i umysłu poety, jak ono jest narażone na pokusy i cierpienia, które prędzej czy później każdego z mieszkańców tej ziemi dosięgnąć muszą — i jak ten dramat rozwija się stopniowo, aż osiąga swój szczyt w dzikich, bolesnych i smutnych rozmyślaniach.

Wiersze te brzmią:

„Ach ach! — ach ach! — ach ach!  
— Ach, ach! — — ach ach!”

i t. d. (Śmiechy). Nie przypominam sobie w tej chwili reszty, ale wzięwszy wszystko na uwagę, zdaje mi się, że poemat ten, jest najszlachetniejszym uczczeniem niewiasty złożonem przez geniusz ludzkości — (śmiechy) — i czuję, że chociażbym mówił całe godziny, to nie potrafiłbym mój wzniosły temat dokładniej i piękniej wyrazić, jak to teraz uczyniłem, cytując niezrównane słowa poety. (Znowu śmiechy). Fazy niewieściej natury są nieskończenie różnorodne. Oto weźcie pierwszy lepszy typ niewiasty, a zawsze znajdziecie coś, co musicie uszanować, podziwiać, coś ukochać. Zawsze spotkacie to co łączy serce z ręką. Któż był bardziej patriotycznym aniżeli dziewica orleańska? Któż był mężniejszy? Któż dał nam wznioślejszy przykład poświęcenia się i ofiary? Ha, żywo sobie przypominacie tę chwilę, gdy serce boleśnie dotknięte poczuło całą falę łez i żalu, na wiadomość o śmierci dziewicy orleańskiej pod Waterloo! (Głośne śmiechy). Któż nie bolał nad stratą Sapphony, pięknej śpiewaczki synów Izraela? (śmiechy). Komuż z nas nie zabrakło słodkich delikatnych usług, łagodnego wpływu, i pokornej pobożności Lukrecji Borgia? (śmiechy). Któżby ośmielił się przyłączyć do bezpodstawowych oszczerstw, twierdzących, że niewiasty są rozrzucone pod względem ubioru, jeśli przypomnimy sobie, jak to nasza matka Ewa skromnie chodziła w kostiumie tropikowych mieszkańców, tylko z pewną nieznaną modyfikacją? (Gwałtowny wybuch śmiechu). Moi panowie, niewiasty są wojowniczkami, niewiasty są malarzami, niewiasty są poetami. Jak długo żyć będzie mowa, tak długo nie

zagine nazwisko Kleopatry. I nie dlatego, że podbiła sobie Grzegorza III — (śmiechy), tylko że napisała te boskie wiersze:

„Pies raduje się szczekaniem i kąsaniem,  
Gdyż Bóg go tak stworzył”.

(Nowe śmiechy). Dzieje świata są ozdobione nazwiskami sławnymi naszego rodzaju — niektóre z nich należą do synów świętego Jędrzeja — Scott, Bruce, Burns, wojownik Wallace, Ben Newis — (śmiechy) — uzdolniony Ben Lomond, również ten nowy wielki szkot Ben Disraeli<sup>1)</sup> (głośne śmiechy). Z olbrzymich równin dziejowych wznoszą się góry, co mówię, całe łańcuchy gór wielkich niewiast — królowej Saby, Józefiny Beauharnais, Semiramidy, Sary Gamp; lista nie ma końca — (śmiechy) — lecz nie chcę odsłaniać kart, nazwiska same stają przed wami, błyszczące nieśmiertelnymi czynami, uświęcone kochającym uwielbieniem dobrych i szlachetnych wszystkich epok i klimatów (oklaski). Niechaj to zadowolni naszą dumę, żeśmy w dzisiejszych czasach dodali dwa nazwiska Grace Darling i Florence Nightingale (oklaski). Kobieta jest wszystkim, czem być powinna — słodka, cicha, łagodna, cierpliwa, pełna wiary i szlachetności. Jest to jej świętem przeznaczeniem, smutnych pocieszać za błędnymi się wstawiać, pokrzepiać odwagę, cier-

<sup>1)</sup> Pan Benjamin Disraeli, wówczas premierminister Anglii, został właśnie w tym czasie obrany rektorem uniwersytetu w Glasgowie i miał mowę inauguracyjną, która wszędzie wywołała wielkie zajęcie.

(Przyp. tłóm).

piącym pomagać, upadłych podnosić, dla niemających przyjaciół zostać przyjacielem — jednym słowem, wszystkim prześladowanym i nieszczęsnym dzieciom świata, gdy zapukają do gościnnych drzwi, okazać współczucie i stworzyć dlań ognisko rodzinne. (Oklaski). A jeśli mówię: Niechaj Bóg ją błogosławi, to między nami nie ma nikogo, któryby pamiętny na uszlachetniającą miłość niewiasty i poświęcenie matki nie dorzucił słówka: Amen!" (Długo i przeciągłe oklaski).

### W jaki sposób redagowałem czasopismo rolnicze.

Objąłem w zastępstwie redakcję czasopisma rolniczego nie bez pewnych obaw — podobnych do tych któreby miał mieszkaniec wsi przy objęciu steru okrętowego. Lecz znajdowałem się w takich warunkach, że ofiarowany mi dochód miesięczny nie był do pogardzenia. Sam redaktor pragnął użyć rozrywki i świeżego powietrza, więc z miłą chęcią przyjąłem na warunki mi postawione i zająłem jego fotel.

Uczucie pracy, było dla mnie rozkoszą umysłową i cały tydzień pisałem z niezmiennem zadowoleniem. Wreszcie druk ukończono i z pewną trwogą czekałem jeden dzień, oczekując wrażenia na ogół z mej pracy. Gdy w tym dniu, o zachodzie słońca zamykałem

biuro, rozproszyła się nagle, jak gdyby z własnego, wewnętrznego popędu grupa mężczyzn i chłopców stojąca na schodach i usłyszałem szeptane słowo: „Otóż on!”

To dotknęło mnie bardzo mile.

Następnego poranku, spotkałem na schodach podobną grupę, kilka par i samotnie stojących ludzi, przyglądających się mnie z pewnem zainteresowaniem. Ludzie ci cofali się przy mojem nadejściu i usłyszałem słowa: „Patrzno, jakie ma oczy!”

Udałem, że nie spostrzegam tej uwagi na mnie zwróconej, lecz w głębi serca cieszyłem się z tego i postanowiłem listownie zawiadomić o tem moją ciotkę. Wchodziłem po schodach, gdy w biurze usłyszałem głośny i wesoły śmiech. Otworzyłem gwałtownie i spostrzegłem dwu młodych ludzi wyglądających po wiejsku, których twarze zbladły i przeciągnęły się na mój widok i potem nagle z wielkim hałasem wyskoczyli przez okno. To mnie zdziwiło.

Pół godziny później przyszedł do redakcyi jakiś stary pan, z długą siwą brodą, o twarzy delikatnej lecz surowej. Na moje zaproszenie usiadł. Zdawało się, że coś mu ciąży. Kapelusz swój położył na podłogę, wyjął jedwabną czerwoną chustkę i jeden numer naszego czasopisma.

Dziennik złożył na kolanie i czyszcząc chustką okulary zapytał się:

— Czy pan jesteś nowym redaktorem?

Odpowiedziałem, że mam ten zaszczyt.

— Czy redagowałeś pan poprzednio kiedykolwiek jakie pismo rolnicze?

— Nie — to moja pierwsza próba.

— To widać.... czy masz pan jakiegokolwiek doświadczenie na tem polu, doświadczenie praktycznego gospodarstwa?

— Zdaje się, że nie — odpowiedziałem.

— To mi mówił instykt, prawil dalej ten stary pan, i wsadzając okulary, spojrzal na mnie surowo i rozwinął nasz tygodnik. Chciałbym przeczytać panu to, o czem mnie ostrzegał mój instykt. Jest to artykuł wstępny. Posłuchaj pan, a potem powiesz, czy ty sam pisałeś to:

„Buraki nie powinny być zrywane, to im szkodzi, o wiele lepiej nająć chłopaka, by je strząśł z drzewa”.

— No, cóż pan powiesz na ten ustęp? — gdyż zaczynam wierzyć, że pan sam to napisałeś?

— Co ja powiem? Otóż zdaniem mojem, jest to bardzo dobrze, jest to rozumne. Nie wątpię, że rocznie miliony i miliony korey buraków niszczeję, przez zbyt wczesne zrywanie, a gdyby posłać chłopaka, by je z drzewa —

— Trzęś swoją babkę! Buraki nie rosną na drzewach!

— Ach, nie rosną, czy rzeczywiście nie rosną? — No, ale bo i któż tak twierdzi? To miał być tylko obrazowy sposób wyrażenia się. Każdy, kto ma tylko pojęcie, spostrzeże natychmiast, że chciałem właściwie powiedzieć, by chłopiec trząśł pnącą się łądygę.

Wówczas powstał ów pan, podarł dziennik na drobne kawałeczki, deptał je nogami, porozbijał laską różne przedmioty i powiedział, że jestem bardziej

głupi, aniżeli krowa. Potem wyszedł i silnie trzasnął drzwiami — jednym słowem zachowywał się tak, że zacząłem się domyślać, iż on jest z czegoś niezadowolony. Nie wiedząc jednak przyczyny, nie mogłem też jej usunąć.

Chwilkę później wpadła do pokoju długa, trupio-blada kreatura, z cieniutkimi na plecy spadającymi lokami i zarostem na twarzy bardzo niejednostajnym, wydobywającym się z nizin i gór jego twarzy i położywszy palec na ustach z miną człowieka czatującego, stanął przedemną. Nie rzekł ani słówka.... ciągle czatował.... ani słówka.... nagle zamknął drzwi na klucz i ostrożnie zbliżył się do mnie, a podając mi złożony nasz tygodnik, rzekł:

— „To pan pisałeś. Prędko, prędko, czytaj pan! Ulżyj mi pau. Ja cierpię”.

Czytałem — i po każdym zdaniu widziałem jaką mu to ulgę sprawiało, jak naprężone mięśnie opadały a trwożliwy wyraz jego twarzy nabierał spokoju, a zadowolnienie oświecało twarz jego, jak księżyc wychylający się z chmur pustyaną ziemię:

„Guano jest to pyszny ptak, lecz wymaga w chodowli wielkiej troskliwości. Nie powinien być wcześniej sprowadzany jak w czerwiec, a nie później jak we wrześniu. W zimie należy go trzymać w ciepłym mieszkaniu, by mógł się gnieździć i rozpladzać.

„Nie ma wątpliwości, że w tym roku zbiory nastąpią u nas później niż zwykle — tedy należałoby zalecić naszym wieśniakom, by zaczynali rozsadzać kisście z kukurydzy i placuszki pszeniczne w lipcu zamiast w sierpniu.

„O dyni. — Jagoda ta jest ulubionym napojem dzikich wnętrza Australii, którzy też przy sporządzaniu placzków owocowych częściej jej jak agrestu używają, a również przy chodowli krów należy się jej pierwszeństwo nad poziomkami, gdyż one raczej napełniają aniżeli sycą. Dynia jest jedynym gatunkiem pożywnym z rodziny pomarańcz, które dojrzewają na północy, z wyjątkiem dyni flaszowej i turbanowej. Lecz zwyczaj sadzenia dyni na podwórzach dla cienia, ustaje z każdą chwilą, gdyż ogólnie zgadzają się na to, że dynia nie może być użytą jako drzewo cieniste.

„W chwili, gdy gorąca się zbliżają i gęsi zaczynają puch swój zrzucac — —”

Uważny mój słuchacz przyskoczył do mnie, by uściskać moje ręce i rzekł:

— Dostyć! Teraz wiem, że posiadam pięć zmysłów w porządku, gdyż czytasz pan słowo w słowo tak jak i ja. Lecz, cudzoziemcze, czytając to dziś rano, rzekłem do siebie, nigdy nie sądziłem, abym ja mógł być waryatem, mimo, że mnie moi przyjaciele strzegli, lecz teraz wierzę, iż tak jest; i pomyślawszy to krzyknąłem dziko, że na dwie mile słychać było i wybiegłem, aby kogoś zabić — gdyż, musisz pan wiedzieć, iż wiedziałem, że prędzej czy później to nastąpić musi, lepiej tedy że prędzej. Przeczytałem powtórnie jeden ustęp pańskiego artykułu, by się dowodnie przekonać — i zapaliłem mój dom. Pokaleczyłem mnóstwo ludzi, a jednego chłopca zapędziłem na wierzchołek drzewa, z kąd każdej chwili dostać go mogę. Przechodząc obok, pomyśla-

łem sobie, tu możesz w tej kwestyi dopytać się prawdy, a zarazem apodyktycznie się przekonać, i rzeczywiście przekonałem się teraz i powiadam panu że to prawdziwe szczęście, że tego chłopaka na drzewie zostawiłem, gdyż z powrotem pewnie byłbym go zabił. Bywaj pan zdrow, mój drogi panie, bywaj zdrow. Wielki ciężar spadł mi z serca. Mój rozum przebył próbę jednego z artykułów pańskich i mam to przekonanie, że już nic nigdy do upadku go nie przyprowadzi! Bywaj pan zdrow, mój panie!

Czułem się nieswoim, z powodu pokaleczonych ludzi i podpalenia, którem się zabawił ten człowiek; nie mogłem bowiem pozbyć się myśli, że ja sam jestem współwinnym do pewnego stopnia, lecz myśli te pierzchyły, albowiem wszedł sam redaktor.

Pomyślałem sobie: „No, gdybyś był pojechał do Egiptu, jak ci radziłem, być może, iż miałbym sposobność, z tygodnika zrobić coś porządne. Ale przyjechałeś. Właściwie oczekiwałem cię!”

Redaktor miał twarz smutną, przestraszoną i zaniepokojoną.

Popatrzył na zniszczenie, które sprawił ten stary krzykała i dwaj młodzi farmerzy i rzekł:

— To smutna historia, bardzo smutna. Oto są poniszczone sześć szyb, flaszka z nasieniami, spluwaczka i dwa lichtarze. Ale mniejsza o to, najgorsze, że dobra sława pisma została zachwiana — obawiam się, czy nie na zawsze. Prawda, że nigdy nie kupowano tak tygodnika, że nigdy tak znaczna ilość egzemplarzy się nie rozeszła, że nigdy nie było czasopismo moje tak sławne; lecz, czyż kto pragnie ko-



sztem szaleństwa dochodzić do sławy i czyż obłędem umysłowym chce się kto wzbogacić?... Mój przyjacielu, jak jestem uczciwym człowiekiem, tak prawdę mówię, że cała ulica jest przepelnioną, mnóstwo ludzi czeka z niecierpliwością twego okazania się, sądzą bowiem że zwaryowałeś. I zaiste mogą tak sądzić, przeczytawszy twój artykuł wstępny. On jest hańbą dla całej prasy. Lecz jak mogłeś uroić sobie, że potrafisz redagować taki tygodnik? Zdaje się, że nie masz najmniejszego wyobrażenia o gospodarstwie rolnem! Mówisz o brudzie i bronie jako-by o rzeczach identycznych, mówisz i zalecasz oswojenie tchórza, jako zwierzątko zabawnego i zdolnego do łowienia szczurów. Twoja uwaga, że muszle leżą spokojnie, gdy się im ładnie przygrywa na flecie, była najzupełniej zbyteczną — ale to najzupełniej, gdyż nie muszli z miejsca nie poruszysz. Muszle wcale czucia nie mają. Na Boga, mój przyjacielu, czy postawiłeś sobie za zadanie życia zdobywać sławę głupotą, mógłbyś dziś już patent na nią otrzymać. Coś podobnego nigdy nie widziałem. Twoja uwaga, że dzikie kasztany są w handlu czem raz więcej poszukiwane, jest obliczoną na zniszczenie mego tygodnika. Musisz porzucić twe stanowisko i wywalić się z redakcyi, dość już miałem feryi — i tak nie miałbym już żadnej przyjemności, zwłaszcza gdybyś ty mnie zastępował, byłbym w ciągłej obawie co ty nowego polecisz uwadze czytelników. Natychmiast tracę cierpliwość, gdy przypomnę sobie, że chodowlę parku ostryg, pomieścicieś w dziale „ogrodnictwo wiejskie”. Musisz odejść. Nic na świecie nie

skłoni mnie, przedłużyć me ferye choćby o jeden dzień. O, czemuż nie powiedzialesz mi, że nie znasz się na rolnictwie!”

— Dlaczego ci nie powiedziałem, ty żdźbło kukurudzianne, ty głowo sałaty, ty rozsadniku bobu? Po raz pierwszy słyszę podobne wymówki. Mówię ci, pracuję w redakcyach od lat czterestu, i nigdy coś podobnego nie słyszałem, by redagując dziennik należało coś umieć. Ach ty rzepo! Któż pisze dramatyczne krytyki dla czasopism drugiego rzędu? Oto, albo szewc postępowy, który zarzucił rzemiosło, albo aptekarczyk, którzy tyle wiedzą o sztuce i grze artystów, co ja o rolnictwie. Któż daje recenzje o książkach? Ludzie, którzy żadnej nigdy nie napisali. Któż kuje ciężkie artykuły wstępne traktujące o finansach? Indywidua, które miały najlepszą sposobność nieczego się nigdy nie uczyć. Któż krytykuje wyprawy wojenne na indyan? Panowie, którzy nie mogą odróżnić okrzyku wojennego od hasła i którzy nigdy nie potrzebowali uganiać się z tomahawkiem lub wyjmować strzał z ranionych, by sobie ognisko rozpalić. Kto pisze odezwy o wstrzemięźliwości i narzeka na szynki? Oto ludzie, którzy odetchną trzeźwo w grobie po raz pierwszy. Kto redaguje gazetę rolniczą, ty korzeniu ziemny? Zwykle ludzie, którym się nie powiodło w poezyi, w straszliwych roman-sach, w sensacyjnych dramatach, w wielkomięjskiem dziennikarstwie, ci chwytają się czasopisma rolniczego, jako ochrony przed domem ubogich. Ty chcesz mnie pouczać w redakcyjnych interesach! Ja przeszedłem je od alfy do omegi i mówię ci, że im więk-

sze robisz wrażenie, tem wyższej żądasz zapłaty. Bóg mi świadkiem, że gdybym był głupim zamiast wykształconym, i bezczelnym zamiast skromnym, dziś miałbym sławne nazwisko na tym zimnym, egoistycznym świecie. Biorę moję dymisję, mój panie. Po pańskich słowach jestem gotów pana opuścić. Lecz uczyniłem zadość mym obowiązkom. Wypełniłem warunki mego kontraktu, o ile mi dozwolono. Wszak powiedziałem, że to czasopismo uczynię poszukiwanem we wszystkich klasach naszego społeczeństwa i to wypełniłem. Przyrzekłem rozszerzyć nakład do dwudziestu tysięcy egzemplarzy, i gdybym był pozostał redaktorem jeszcze dwa tygodnie, zrobiłbym i to. Zyskałbyś pan najlepszą klasę ludzi na czytelników — nie byłoby między nimi ani jednego rolnika, ba nawet ani jednego indywiduum, któreby umiało odróżnić drzewo melona od czereszniowej roślinki. Pan sam tracisz na zerwaniu, ty roślino pasztetowa. Adios.

I rzekłszy to, poszedłem.

### Riley, korespondent dziennika.

Jednym z najlepszych ludzi w Waszyngtonie — lub gdziekolwiek bądź — jest Riley, korespondent wielkich dzienników w San Francisco.

Riley jest pełen humoru i posiada wrodzoną żyłkę do ironii, co go czyni bardzo miłym i zajmują-

cym w towarzystwie — lecz tak długo, póki nie mówi o sobie. Jednak mimo posiadania tych zalet umożliwiających każdemu napisanie wesołego, interesującego listu, korespondencye Riley'a noszą na sobie cechę smutnej i zgryźliwej powagi, jak również suche wyliczenie faktów, co wszystkich zadziwia i smuci, którzy go poznali bez tej urzędowej formy. To dziwne zjawisko tłumaczy on twierdzeniem, że jego chlebodawcy posłali go do Waszyngtonu, by donosił im o faktach a nie pisał fantazyi, i częstokroć blizkim był utraty swego miejsca, ponieważ w swych sprawozdaniach pomieszczał zwroty humorystyczne. W głównej kwaterze nie oczekiwano tego a więc nie zrozumiano, i uważano je za ciemne i krwawe mowy, obliczone na sygnalizowanie i przestrzeżenie tajnych towarzystw mordy i podobnych związków, z tego powodu wykreślono je z świętem oburzeniem i modlitwą, a potem wrzucono do ognia.

Riley opowiada, że czasami napada go taka tęsknota i pragnienie napisania barwnego i tętniącego życiem listu, że nie może się oprzeć tej pokusie, wówczas idzie do swj izdebki i rozkoszuje się tą wolnością pisania, by później doznać całego ogromu bóleści matki, gdy swe drogie dziecię musi utracić. Ponieważ sam widziałem to postępowanie Riley'a, więc co mówię, mówię oparty na faktach. Bardzo często śmiałem się z nim razem czytając jego humorystyczne uwagi, a później z niemałym smutkiem widziałem go przekreślającego wzmiankowany ustęp. Przy takiej sposobności zwykł on być mawiać:

Mark Twain. Humoreski. III.

„Musiałem to napisać, aby nie umrzeć, i musiałem wykreślić, by z głodu nie ginąć. Wiesz przecież, że tanci nie darowaliby mi tego”.

Jestem zdania, że Riley jest najmilszym towarzyszem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Mieszkaliśmy w Waszyngtonie podczas zimy z 67 na 68 w wielu pomieszkaniach, przeprowadzając się wygodnie, a przez płacenie czynszu zwróciliśmy na siebie szerszą uwagę — jest to w Waszyngtonie taką zaletą, że niechybnie napiętnuje osobę płacącą, jako oryginalną. Riley opowiadał mi wówczas o wycieczce, którą przedsięwziął dawniej do Kalifornii a mianowicie przez Istmus i rzekę San-Juan, jak w San-Francisco był piekarzem, by zarobić na życie, potem stawiał kręgle, funkcyonował jako adwokat, otwierał ostrygi, dawał godziny języka francuzkiego i innych przedmiotów, był kelnerem bufetowym i reporterem dziennikarskim, tancmistrzem i chińskimi tłumaczem w sądach. Ostatnie to zatrudnienie było bardzo popłatne i Riley zaczął już oszczędzać, gdy ludzie zaczęli się niecierpliwie, albowiem jego tłumaczenia były zbyt „wolne”, zarzut zupełnie niesłuszny, gdyż został tłumaczem jedynie dlatego, że chciał, że musiał zarobić na życie. Przez intrzygi nieprzyjaciół został Riley wydalony z sądu, a jego miejsce objął człowiek, który wprawdzie po chińsku wybornie umiał, ale ani słówka po angielsku.

Opowiadał mi dużo o swej podróży do Meksyku a zabawne jego przygody bardziej mnie interesowały aniżeli najlepszy romans. Jest to wstydem i hańbą zaprzędz Riley'a do takiej rzemieślniczej pracy! Pisze

on skromne, bezbarwne, jednak fotograficznie wierne sprawozdania, lecz mojem zdaniem wolałbym jeden swobodny objaw jego fantazyi aniżeli cały nekrolog faktów.

Riley jest nadzwyczaj skrupulatnym, zawsze uczynny i grzeczny, nigdy o niczem nie zapomni, do czego się zobowiązał, jest dobrym synem, stałym przyjaciелеm i szlachetnym przeciwnikiem. Nie przestrasza go żaden trud, by komuś usłużyć, więc zawsze jest zatrudnionym, aby tylko pomódz potrzebnym i niezdatnym. I prawie zawsze wie on, jak się wziąć do rzeeczy. Jest to człowiek, którego wrodzona dobroć tryska nieprzebranem źródłem, jest on zawsze gotów, każdemu według swej możności pomódz — i nie tylko pieniędzmi, bo to tani i codzienny sposób dobroczynności, lecz ręką i radą, z utratą czasu i wielką, męczącą zapobiegliwośćią. Taki rodzaj ludzi jest rzadkością.

Riley jest dowcipnym bez namysłu, wielki spryt w doborze odpowiednich cytatów i twarz, która przy opowiadaniu najzabawniejszych dowcipów pozostaje poważną, uroczystą i nie mówiącą, jak odwrotna strona napisu nagrobnego. Pewnej nocy spaliła się w sąsiedztwie stara kobieta indyanka i Riley powiedział, że nasza gospodyni będzie przy śniadaniu gwałtownie wzruszoną, gdyż nie opuści ona z zasady tak dogodnej sposobności wylewania łez, jest bowiem z natury chorobliwo-sentymentalną; najlepiej tedy uczynimy, gdy cierpliwie wszystko wysłuchamy, nie przerywając jej — jest to bowiem jedyny środek uratowania bulionu od łez płynących. Riley był

zdania, że nie było pogrzebu w sąsiedztwie, aby potem przez cały tydzień bulion nie był wodnistym.

I rzeczywiście przy śniadaniu nasza gospodyni była uosobieniem bólu i zmartwienia — jej serce było nieustannie krajane. Cokolwiek spostrzegła, wszystko przypominało jej pocziwą, starą, czarną kobieciny i tak placuszki pszeniczne spowodowały łkanie, kawa zmusiła ją do jęków, a gdy podała befszytk bolesć jej nie miała granic. Potem zaczęła opowiadać o zmarłej, przyczem łyż tak obficie wylewała, póki nas zupełnie nie rozmiękczyła. Następnie westchnęła i łkając nieustannie mówiła:

„Ach, gdy nad tem pomyślę, gdy tylko pomyślę! — pocziwa, biedna, stara kreaturo! Gdyż była ona tak wierną! Czy mi uwierzycie, że z przysłałem Bożem Narodzeniem byłaby ona w tym samym domu i przy tej samej rodzinie wysłużyła dwadzieścia siedm lat, i nigdy złego słowa, nigdy uderzenia! O, i pomyślcie, że poniosła ostatecznie taką śmierć!... Oto siedzi około trzeciej godziny nad ranem na rozpalonym piecu, zasypia, pada i naprawdę się *usmażyła!* Nie trochę nadpalona, lecz dosłownie na węgiel wysmażona! Jestem tylko biedną kobietą, lecz choćbym miała bardzo poskąpić, muszę postawić pomnik tej cichej męczennicy — a jeśli pan, panie Riley'u łaskaw, to pomyśl nad napisem, z którego możnaby się dowiedzieć, jak straszliwym sposobem ona — —”

„Napisz pani: „Chwalebnie uczyniłeś, ty dobry i wierny niewolniku”; powiedział Riley poważnie”.

## Dlaczego złożyłem mój ostatni urząd.

Waszyngton 2 grudnia 1867.

Złożyłem mój urząd. Rząd zdaje się chce iść tą samą koleją, chociaż stracił jedną sprychę u koła. Byłem sekretarzem wydziału dla konchologii, wybranego z senatu. Zauważyłem, że ze strony innych członków rządu istniała najwyraźniejsza skłonność przeszkadzania mi na każdym kroku w wypowiedzeniu mego zdania w narodowej radzie, więc musiałem porzucić urząd, by zachować godność osobistą.

Gdybym chciał szczegółowo opisywać wszystkie obelgi doznane w ciągu sześciomiesięcznej mej służby, w którym to czasie zostawałem z rządem w stosunkach z powodu mego urzędu — opowieść ta zapełniłaby tom cały, Mianowano mnie sekretarzem tego wydziału dla konchologii i nie dano mi żadnego amanuensisa, z którym mógłbym grać na bilardzie. Byłbym to zniósł, chociaż jest to rzeczą nudną, gdyby reszta członków gabinetu była dla mnie tak grzeczną, jak mi się to należało z urzędu. Lecz tak nie było. Gdy spostrzegłem, że szef jakiej sekcji szedł fałszywą drogą, to wszystko porzucałem, szedłem do niego i starałem się zwrócić go na prawdziwą drogę, jak to było moim obowiązkiem. I ani w jednym wypadku nie odwdzięczono mi się, nie podziękowano nawet. Z najlepszych zamiarami poszedłem do ministra marynarki i rzekłem:

— Mój panie, nie mogę spokojnie patrzeć, że admirał Farragut nie nie czyni, tylko siedzi w Europie z flotą, jakby dla rozrywki. No, może to być wszystko rzeczą piękną, lecz *mnie* się to nie przedstawia w takim świetle. Czyż nie ma gdzie walczyć— a jeśli nie, to każ mu wrócić do domu. Nie ma żadnej korzyści, by jeden człowiek rozporządzał całą flotą dla rozrywki podróżomani. To za kosztowne. Lecz uprzedzam, że nie mówię nic przeciw wycieczkom oficerów marynarki — przeciw wycieczkom dla rozrywki i zabawy, mającym cel rozumny, a które są tanie, — dobrze, niechaj na tratwie płyną po Missisipi —

Trzeba było posłuchać, jak się on wścieka! Zdawałoby się, że popełniłem zbrodnię. Lecz nie uważałem na to. Powiedziałem, że taka wycieczka jest taną, pełną prostoty republikańskiej i najzupełniej bezpieczną. Rzekłem, że nie ma nic lepszego jak tratwa do takich wycieczek.

Następnie zapytał się mnie minister marynarki kto jestem, a gdy mu powiedziałem, że jestem urzędnikiem, chciał wiedzieć jakim. Odpowiedziałem, nie zwracając uwagi na dziwaczność takiego pytania, li tylko z powodu że pochodzi od członka mego rządu, iż jestem sekretarzem wydziału dla konchologii. Dopiero wybuchła burza! Zakończył rozkazem, bym natychmiast opuścił ten dom i na przyszłość troszczył się tylko o moje sprawy. Z początku zamierzałem zniszczyć go, zrzucić ze stanowiska, lecz ponieważ przy tej sposobności i inni ludzie ponieśli by szkodę a ja nie odniosłbym żadnych korzyści, więc pozostawiłem go na urzędzie.

Teraz poszedłem do ministra wojny, który z początku nie chciał mnie przyjąć, aż dowiedziawszy się, że zostaję w stosunkach z rządem, kazał mnie wpuścić. Gdybym był nie przyszedł w tak bardzo ważnej sprawie, sądzę, że byłbym go nie ujrzał. Ponieważ on właśnie palił cygaro, poprosiłem go o ogień a następnie powiedziałem mu, że wprowadzę nie mam nic do zarzucenia generałowi Lee, jednakowoż sposób obchodzenia się z indyanami uważam za niestosowny. Rzekłem, że on zanadto rozciąga linie bojowe. Powinien skupić indyan w jedno miejsce, a mianowicie w takie, gdzie obie strony walczące miałyby pod dostatkiem prowiantu i wówczas na wielką skalę urządzić ogólną rzeź. Powiedziałem, że nie bardziej nie trafia do przekonania indyan nad rzeź ogólną. Jeśli on jednak nie jest zwolennikiem rzezi, to najlepszym środkiem będzie mydło i kształcenie. Mydło i kształcenie wprawdzie nie działają tak gwałtownie jak rzeź, lecz w skutkach są pewniejsze i śmiertelniejsze; gdyż zabity na poły indyanin, może znów wyzdrowieć, jeśli go się jednak kształci i myje, to na pewno, prędzej czy później skończy, to bowiem podkopuje jego zdrowie, to wstrząsa podstawami jego bytu.

— Mój panie, kończyłem, nadszedł czas, w którym srogość krwią płynąca stała się koniecznością. Poszlij pan każdego indyanina niepokojącego nasze równiny, na stępy z mydłem i elementarzem a on musi umrzeć!

Minister wojny zapytał się mnie, czy jestem członkiem gabinetu. Odrzekłem: tak jest — a prócz tego

nie jestem wcale z rodzaju takich ad interim. Pytał dalej, jaką godność ja piastuję; odpowiedziałem, że jestem sekretarzem wydziału dla konchologii. Po tych słowach zostałem z jego rozkazu z powodu obrazy aresztowany i pozbawiony wolności podczas najpiękniejszej pory dnia.

Omówiłem, że nie powziąłem postanowienia w przyszłości zachować się cicho i spokojnie a rządowi pozwolić iść szpadzistą drogą; lecz obowiązek zmuszał mnie i byłem mu posłuszny. Odwiedziłem ministra finansów.

On rzekł:

— Czego pan sobie życzyysz?

To pytanie ośmieliło mnie.

Odpowiedziałem: „Rum-puncz”.

On rzekł:

— Jeśli pan przyszedłeś w interesie kancelaryjnym, tedy mów pan — ale krótko a węzłowato.

Odpowiedziałem, że bardzo mi przykro, że on uważa za stosowne tak nagle zmieniać przedmiot rozmowy, że to mi nawet ubliża, lecz wobec takich okoliczności nie myślę robić z tego kwestyi i przychodzę do rzeczy. Teraz powiedziałem mu o niestosownej długości jego sprawozdania finansowego. Rzekłem, że ono jest kosztownem, niepraktycznem i niezręcznie zredagowanem; tam nie ma żadnych miejsc opisowych, żadnej poezyi, żadnego uczucia, żadnego bohatera, żadnej intrygi dramatycznej, żadnego obrazowania — nawet brak drzeworytów. Nikt nie jest w możności to sprawozdanie przeczytać, to jest rzeczą jasną jak słońce. Rzekłem mu że zaprzepaści swą sławę autorską, jeśli podobną rzecz wyda, a gdy

chce mieć powodzenie w literaturze, to w jego dziełach musi być więcej różnaitości, szczegółów bezbarwnych musi unikać. Powiedziałem, że wielka poczytność kalendarza spoczywa właśnie na pomieszczeniu poezyi, zagadek i rebusów, a gdyby on w swem sprawozdaniu finansowem umieścił coś takiego, rozprzedaż byłaby zapewnioną. Mówiłem to powodowany przyjaźnią, minister skarbu wpadł jednak w taki gwałtowny gniew, że nawet nazwał mnie osłem. Nawymyślał mnie najgorszymi słowami i zakończył, że jeśli raz jeszcze ośmielę się mieszać w jego sprawy, wyrzuci mnie za okno. Odpowiedziałem, że wolę wziąć mój kapelusz i wyjść, aniżeli słuchać rzeczy ubliżających mej godności jako urzędnika, i rzeczywiście poszedłem. Postępował on zupełnie tak jak młodzi autorzy. Ci myślą, że nikt lepiej nie zna się na wydawnictwie, aniżeli oni, którzy pierwszą książkę w świat puszczają. Ci ludzie nie przyjmują nauk od nikogo.

W tym czasie, gdy z rządem byłem w związku, zdawało się, jakoby mój urząd polegał na czynieniu tego, co wywołuje niemiłe sceny i awantury. A jednak nie nie czyniłem, do niczego się nie mieszałem, oprócz do spraw pożytecznych, według mego zdania, oczywiście mojej. Być może, że doznana niesprawiedliwość skłania mnie do surowych sądów i wniosków, jednak jestem prawie przekonany, że zaraz po mojem wstąpieniu w służbę państwa utworzył się spisek, do którego weszli minister spraw wewnętrznych, minister wojny, minister skarbu i inni moi koledzy, a to w celu wypędzenia mnie. Jedno

posiedzenie przekonało mnie o tem dowodnie; byłem na tem posiedzeniu gabinetu ministeryalnego, na tem jedynem w przeciągu tego całego czasu, gdy z rządem byłem w porozumieniu. Służący u drzwi Białego Domu zdawało się, że był niechętny mej osobie, gdyż wzbraiał mi wejścia, i dopiero gdy go zapytałem czy inni członkowie gabinetu, moi koledzy już przybyli, otrzymałem pozwolenie wejścia. Odpowiedział, że są już w sali, do której ja w tejże chwili wszedłem. Rzeczywiście wszyscy byli, lecz nikt nie prosił mnie siedzieć. Spoglądali na mnie, jak gdybym był nieznośnym natrętem.

Prezydent przemówił:

— Mój panie, któż pan jesteś?

Podalem mu mój bilet wizytowy, a on czytał:

„Mark Twain, sekretarz wydziału senatu dla konchologii”.

Następnie popatrzył na mnie, jak gdyby po raz pierwszy mnie widział i o mnie słyszał.

Minister skarbu odezwał się:

— To jest ten natrętny osioł, który przyszedł do mnie, by mi radzić wpisanie do mego sprawozdania zagadek, poezyi i rebusów, tak jak gdyby moje sprawozdanie było kalendarzem!

Minister wojny rzekł:

„To ten sam fantastyk, który wczoraj przyszedł do mnie z planem by jedną część indyan zabić kształceniem a drugą część wymordować.

Minister marynarki mówił:

— W tym młodym człowieku, poznaję osobistość, która w bieżącym tygodniu kilkakrotnie wzięła

się w moje sprawy. Jest on niepocieszony, że admirał Farragut potrzebuje całej floty na swą wycieczkę. Jego projekt, odbycia wycieczki na tratwie jest tego rodzaju, że lepiej o nim zamilczeć.

Rzekłem:

— Moi panowie, uważam, że jesteście skłonni każdej mej urzędowej czynności nadać charakter nieunawistny; zauważyłem następnie, że objawia się tu wyraźna skłonność powstrzymania mnie i to bezwzględne w wypowiedzeniu mego zdania w sprawach narodowych. Nie otrzymałem dzisiaj żadnego zawiadomienia; li tylko przypadkowi zawdzięczam, że przyszedłem na posiedzenie gabinetu. Lecz zostawmy te spory, pragnę się tylko dowiedzieć, czy to jest posiedzenie gabinetu czy nie?

Prezydent kiwnął głową potakująco.

— W takim razie, mówiłem dalej, przystąpmy wprost do porządku dziennego i nie traćmy drogiego czasu na rekrymacye naszych czynności urzędowych.

Minister spraw wewnętrznych przemówił w przyjacielski sposób:

— Młodzieńcze, tu zaszło nieporozumienie. Sekretarze wydziałów kongresu nie są członkami gabinetu, a nawet odźwierni Kapitolu nimi nie są, choćby się to tobie dziwnem zdawało. Z tego powodu nie możemy korzystać z pańskich dobrych chęci i nadludzkiego rozumu. Rada narodu musi zrezygnować z pańskiej pomocy. Jeśli nas spotka nieszczęście, co nie jest niemożliwem, to niechaj ta okoliczność pocieszy twój strapiiony umysł, że wszystko uczyniłeś

nową i uczynkiem, co tylko mogłeś by to nieszczęście odwrócić. Niechaj ci towarzyszy moje błogosławieństwo! Bywaj zdrów.

Te łagodne słowa uspokoiły me wzburzenie i poszedłem już swobodny. Lecz słudzy narodu nie wiedzą co to spokój. Zaledwie moją klatkę na Kapitolu odwiedziłem i jako prawdziwy deputowany i zastępca ludu me nogi na stole wygodnie pomieściłem, gdy wpada jeden z senatorów wydziału dla konchologii z wściekłym gniewem i mówi:

— Gdzie byłeś pan przez cały dzień?

Zauważyłem, że jeśli to kogoś prócz mnie obchodzi, to byłem na posiedzeniu gabinetu.

— Na posiedzeniu gabinetu! A to radbym też wiedzieć, co mogłeś *pan* tam robić?

Odpowiedziałem, że poszedłem tam, by zaciągnąć rady — przy tych słowach, jako dowód wspomnienia z lekka, że to jego osobiście dotyczy. Wówczas stał się on bezczelnym i zakończył swe słowa tem, że szuka mnie od trzech dni, gdyż sprawozdanie o skorupach, o jajach, o muszlach, konchach i t. d. — wszystko w związku z konchologią będące — miałem przepisać, i nikt nie umiał mu powiedzieć gdzie jestem.

Tego było mi zanadto. Rzekłem:

— Mój panie, czyż sądzisz, że ja za sześć dolarów dziennej płacy, będę *pracował*? Jeśli pan miałeś podobną myśl, to ja z mej strony oświadczam wydziałowi dla konchologii, by najęła sobie kogo innego, nie jestem bowiem niewolnikiem, *żadnego* stronictwa. Odbierz pan swą haniebną propozycję. Dajcie mi wolność lub śmierć!

Począwszy od tej chwili nie byłem w związku z rządem. Prześladowany przez sekcję, prześladowany przez gabinet, prześladowany wreszcie przez prezesa wydziału, którego chciałem być ozdobą, porzuciłem niebezpieczeństwa i pokusy mego wielkiego urzędu i w chwili niebezpieczeństwa opuściłem moją drogą skrwawioną ojczyznę!

Jednakowoż służyłem państwu, tedy posłałem następujący rachunek:

*Stawy zjednoczone północnej Ameryki*

są dłużne panu Markowi Twain, wielmożnemu b. sekretarzowi wydziału konchologii:

Za konsultację z ministrem wojny...	50 dolarów
Za konsultację z ministrem marynarki	50 „
Za konsultację z ministrem skarbu..	50 „
Za konsultację w gabinecie.....	gratis
Koszta podróży do Jeruzolimy <sup>1)</sup> , i z powrotem via Egipt, Alg'er, Gibraltar i Kadyx, 14,000 mil, à 20 centimów,.....	2,800 dolarów
Pensya sekretarza wydziału dla konchologii, 6 dni, dzień po 6 dolarów	36 „

Sama... 2,986 dolarów.

Ani jedna pozycja nie została zapłaconą, prócz tej drobnostki 36 dolarów jako pensya sekretarza.

<sup>1)</sup> Deputowani z prowincyi liczą swe dyety podróży nie tam i napowrót, chociaż nigdy nie wracają, gdy raz tu przybędą. Dlatego zaprzeczono wypłacenia mi moich dyet podróży — to dla mnie zagadką, której nie mogę i nie umiem rozwiązać.



Minister skarbu, który mnie do ostatniej chwili przesładował, przekreślił je piórem i na boku napisał „nie przyjęto”.

W ten sposób zdecydowano się ostatecznie na straszliwą alternatywę. Nieuczynanie długów państwa już się rozpoczęło! Naród dąży do zguby. Wprowadzie prezydent republiki przyrzekł deputacyi ludowej pamiętać o moich pretensjach i polecić ich wypłatę z pierwszych pieniędzy, które państwo jako wynagrodzenie z Alabamy otrzyma; lecz czy nie zapomni o tem? A dalej czy mnie nie zapomną, gdy wynagrodzenie zostanie wypłacone? Zupełnie inni dłużnicy państwowi powinni być zapomniani, ale czy będą?

Obecnie jestem wolny od urzędu. Niechaj ci sekretarze, którzy dają się oszukiwać pozostaną. Ja znam w departamentach całą ich gromadę, takich którzy nie zostają zawiadomieni o posiedzeniu gabinetu; którzy nigdy nie są zapytywani o radę przez naczelników narodu ani w kwestyi wojny ani skarbu — zupełnie tak, jak gdyby z rządem nie byli w związku, a którzy jednak faktycznie dzień po dniu zostają na swych urzędach i pracują! Oni wiedzą, jak wielkie znaczenie mają w narodzie i mimo-wiednie to okazują swem zachowaniem się i sposobem zamawiania potraw w restauracyach — ale pracują.

Znam jednego, który wszelkie możliwe rodzaje małych wycinków z gazet wkleja do księgi wycinków — czasami w jednym dniu nawet ośm do dziesięciu wycinków. Nie robi to dobrze, ale robi jak

umie. Jest to wielce znużną pracą. Czynność ta absorbuje siły ducha. A jednak on otrzymuje tylko 1,800 dolarów rocznie. Z umysłem takim jak on, mógłby ten młody człowiek w innym zawodzie nabierać tysięcy i tysięcy dolarów, gdyby tylko zechciał. Lecz nie — jego serce należy do ojczyzny i on chce jej służyć, dopóki będzie istnieć księga wycinków.

I znam także sekretarzów, którzy wprawdzie dobrze nie piszą, lecz wiadomości, które posiadają, w szlachetny sposób kładą u stóp ojczyzny i cierpią, biedują pobierając 2,500 dolarów rocznie. Co napiszą, muszą inni sekretarze zwykle przepisywać, — lecz jeśli człowiek swemu krajowi wszystkie swe wiadomości ofiaruje, czyż ojczyzna może się na niego skarżyć?

I są sekretarze, którzy żadnego zatrudnienia sekretarzów nie mają, lecz oczekują na stałe zajęcie i czekają i czekają — cierpliwie czekają na sposobność służenia krajowi — i podczas gdy czekają, pobierają rocznie tylko 2,000 dolarów. To smutne — bardzo smutne. Jeśli jaki członek kongresu ma przyjaciela, posiadającego wielkie zdolności i rozległe wiadomości, lecz żadnego zajęcia korzystnego, to darowuje go ojczyźnie i wystara mu się o miejsce sekretarza przy ministerium. I tam człowiek ten przez całe życie, jak niewolnik pracuje, a to dla dobra narodu, który o nim nie pamięta, nie ma dla niego żadnego współczucia, dla niego walczącego z dokumentami — i to wszystko za nędżnych 2,000 lnb 3,000 dolarów rocznie. Gdybym spi-

sał listy sekretarzy różnych departamentów, wraz z danymi statystycznymi, co robią i co otrzymują, to ludzie nabyliby przekonania, że nawet połowy potrzebnych sekretarzy nie ma, a ci co są, ani w polowie nie pobierają dostatecznej płacy.

### Moje miejsce sekretarza u senatora.

Teraz nie jestem już prywatnym sekretarzem u senatora. Byłem nim przez dwa miesiące z całym zaufaniem i pewnością siebie, lecz potem rozpoczął się pochód rakowy — to znaczy moje prace wracały i okazały się w prawdziwym świetle. Uważałem za stosowne zrezygnować z mej posady, a stało się to w sposób następujący. Mój chlebodawca przysłał po mnie wczesnym rankiem, a skoro uzupełniłem jego wielką mowę o skarbości kilkoma frazesami, stanąłem przed jego obliczem. Już jego postać zewnętrzna nie zapowiadała nic dobrego. Jego krawat nie był mocno opięty, włosy były w nieporządku, a twarz wyrażała ukrytą burzę. Palcami trzymał kurczowo pakiet listów, a ja wiedziałem, że nadeszła poczta z brzegów Cichego oceanu.

On rzekł:

— Sądziłem, że pan jesteś urzędnikiem godnym zaufania?

Odpowiedziałem:

— Tak, panie.

On rzekł:

— Dałem panu list od niektórych moich wyborców ze stanu Newady, w którym proszą o urządzenie stacyi pocztowej w Baldwins-Ranch, i poleciłem panu na niego odpowiedzieć — tak delikatnie i zmyślnie jak tylko pan umiesz, że poczta z podanych przez pana przyczyn nie jest koniecznością w wzmiankowanej miejscowości.

Odetchnąłem.

— A jeśli tylko to, panie senatorze, to rzeczywiście spełniłem.

— Tak, spełniłeś pan. Lecz by pana zawstydzić przeczytam mu jego odpowiedź:

Waszyngton 24 listopada.

*Do panów Smith, Jones i towarzyszków.*

Moi panowie!

Po kiego dyabła potrzebujecie poczty w Baldwins-Ranch? Na co się wam ona przyda? Wszak wiecie dobrze, iż gdyby listy nadeszły, nie moglibyście ich odczytać; a prócz tego, listy zawierające kwoty pieniężne nie mogłyby bez uszczerbku przebyć waszą mieścinę, by dojsz miejsca przeznaczonego, to przecież jest dla was zrozumiałem, a nam wszystkim byłoby bardzo nieprzyjemnem. Porzućcie wszelką nadzieję utrzymania pocztowego urzędu w waszem legowisku. Ja myślę o najświętszych sprawach dla was i czuję, że poczta służyłaby tylko ku ozdobie. Wy wiecie, co wam potrzeba, oto ładnego więzienia — ładnego, trwałego więzienia i wolną szkołę. Takie instytucje

Mark Twain. Humoreski. III.

sprowadzą błogosławieństwo, one uczynią was prawdziwie szczęśliwymi i zadowolonymi. Kwestye te natychmiast poruszę.

Wam zupełnie oddany

*Mark Twain*

za James'a W. N.

Senatora Stanów Zjednoczonych.

— Czy to jest sposób odpowiedzi. Ci ludzie odpisują, że powieszą mnie, jeśli się tam pokażę i jestem najzupełniej przekonany, że słowa dotrzymają.

— Ależ panie senatorze, nie wiedziałem, że ich to tak dotknie, pragnąłem ich tylko przekonać.

— O tak przekonałeś ich pan, w to nie wątpię, no, a tu druga próbka... Dałem panu prośbę pewnych panów z Newady, w której piszą, bym w kongresie przeprowadził uchwałę, na mocy której kościół episkopalny metodystów zyskałby prawa korporacji. Powiedziałem panu, że podobna uchwała należy właściwie do zakresu prawodawczego danego stanu, i miałeś ich pan przekonać, że wobec dzisiejszego osłabienia elementu religijnego w republice tamtejszej, przywilej korporacyjny dla kościoła należy do kwestyj wątpliwych. Cóż pan napisałeś?

Waszyngton 24 listopada.

*Do Wielmożnych pp. John Halifax i towarzyszków.*

Moi panowie!

Chcąc przeprowadzić waszą spekulację musicie się zwrócić do prawodawstwa waszego rodzinnego państwa

— o religii, kongres milezy. Lecz nie spiescie się, gdyż to co zamierzacie jest w waszym kraju niepraktycznem — jest nawet śmiesznem.

Ludzie w waszym kraju, ci co posiadają religię są za słabi na rozumie, moralności i pobożności — jednym słowem mniej więcej we wszystkim. Zrobilibyście lepiej porzucając tę myśl — i tak nic nie osiągnięcie. Wszak nie możecie na taką jak wasza korporacja wypuścić akcye — a gdybyście mogli, sprowadziłyoby to wam wiele niedogodności. Inne sekty szkodziłyoby wam, oczerniałyoby was, musielibyście w końcu akcye niżej kosztu posprzedawać i ogłosić bankructwo. Byłaby to podobna sprawa jak z waszemi kopalniami srebra — wszyscyby sądzili, że to szwindel. Tedy nie powinniście nic czynić takiego, coby mogło zaszkodzić świętej sprawie. Powinniście mieć wstyd — to powstrzyma was w waszym zamiarze. Kończycie wasz list słowami: „A my chcemy się ciągle modlić”, sądzę że nic lepszego uczynić nie możecie — nawet bardzo potrzebujecie tego.

Gotów na wasze usługi

*Mark Twain,*

za James'a W. N.

Senatora Stanów Zjednoczonych.

— Ten list zabił mnie w oczach stronnictwa religijnego mych wyborców, lecz by dopełnić goryczy, jakiś zły duch szepnął mi dać panu list poważnych obywatelów miejskiej rady w San Francisco, byś na odpowiedział — list ten dotyczy sprawy uzyskania prawa budowania wodociągów na przedmieściu

miasta, a to na mocy uchwały kongresu. Mówiłem panu, że jest to kwestya zawiła i trudna, tedy miałeś pan napisać list bez żadnych zobowiązań — dwójznaczny list — list wymijający właściwie omówienie budowli wodnych. Jeśli pan masz jakiegokolwiek uczucie, jakikolwiek wstyd — zaiste ten list powinien je w panu obudzić, gdy go wysłuchasz:

Waszyngton 27 listopada.

*Do przeznaczonego kolegium radców miejskich etc.*

Moi panowie!

Jerzy Washington, najzaciejszy ojciec naszej ojczyzny umarł. Jego długa i świetna karyera jest ach! już na zawsze zamkniętą. On cieszył się w tej części naszej ojczyzny wysokim szacunkiem, a wczesna śmierć pogrążyła wiele gmin w smutku i boleści. Zmarł on 14 grudnia 1799. Spokojnie rozstał się on z krajem swej chwały i wiekopomnych czynów — on, najbardziej żałowany i najszczerzej ukochany bohater, poszedł w objęcia śmierci. I w takim to czasie, *ny* mówicie o budowlach wodnych! — jakież *on* miejsce zajmuje w dziejach ludzkości?

Cóż jest sława? Sława to przypadek. Sir Isaak Newton odkrył, że jabłko pada na ziemię — zaiste najzwyczajniejsze odkrycie — odkrycie zrobione przed nim przez miliony ludzi — lecz jego rodzice i krewni byli ludźmi wpływowymi i tak długo podnosili ten mały wypadek, póki nie urosł na cud i oto, głupi świat zaczął trąbić i jednym zamachem zrobił go sławnym. Zapamiętajcie sobie tę myśl, jako bardzo cenną zasadę życia.

Poezyo, słodka poezyo, któż potrafi godnie ocenić, co świat tobie, o poezyo! zawdzięcza!

Maryjka miała baranka, białutkiego jak śnieg.  
Gdzie Maryjka szła, tam za nią szedł baranek:

\* \* \*

Jack i Gill na pagórek wleźli,  
By wodę w wiadrze przywieźli;  
Jack padł na dół i złamał nogę  
Gill poszedł w tę samą drogę.

Te dwie poezyjki uważam ja za prawdziwe klejnoty, z powodu ich prostoty, zgrabnego wierszowania a głównie dla braku w nich jakiegokolwiek niemoralnej tendencji. Są one dostępne dla każdego umysłu, są zrozumiałe każdej sferze życia — czy to na polu, czy w pokoju dzieciennym, czy też w warsztacie rzemieślnika. Zwłaszcza nie powinno być zapomniane w magistratach i radach miejskich. Takie jest moje zdanie.

Przeznaczone zabytki! Piszcie jeszcze raz, list przyjacielski jest mi zawsze najmilszym. Odpisujecie — a jeśli w waszem piśmie będzie coś dla mnie zagadkowego, nie obawiajcie się, lecz przyłączcie wyjaśnienie. Zawsze miło mi będzie posłuchać waszej szeptaniny.

Na wasze usługi

*Mark Twain*

za James'a W. N.

Senatora Stanów Zjednoczonych.

— To jest list okropny zniszczył mnie kompletnie!  
 — Ach, panie senatorze, jakżeż mi przykro, że on nie wypadł w zupełności ku zadowoleniu pana — ale — ale — zdaje mi się, że on zręcznie wymija kwestyę budowli wodnych.

— Dyabła wymija! O!.. lecz przepadło. Ponieważ upadek jest już nieuchronnym, to niechże będzie zupełnym. Niechże będzie dokładnym — oto ostatni list pański, który teraz przeczytam, będzie on godnym początku. Jestem zrujnowany i zabity. A miałem moje przeczucia, gdy oddawałem panu list z Humboldt'a, w którym proszono, by drogę pocztową z doliny indyan do Shakespearcap przeprowadzono częściowo dawną drogą mormonów. Lecz rzekłem panu, że to delikatna sprawa i uprzedziłem, byś nie pisał nagiej prawdy — miałeś odpisać niejasno i zostawić proszących w wątpliwości. A oto pańska nieszczęsna głowa wymyśliła następującą odpowiedź! Sądzę, że gdybyś posiadał troszeczkę wstydu, zakłamałbyś sobie uszy, by jej nie słyszeć, oto jest:

Waszyngton 30 listopada.

*Do panów Perkins, Wagner i towarzyszków.*

Moi panowie!

Jest to kwestya nader delikatna, tu droga indyan, lecz jeśli ją z należytą dwójznacznością i sprytem poruszymy, to nie wątpię, że odniesiemy pożądaný rezultat, gdyż miejsce, gdzie droga Lassen-Meadows porzuca, tam dalej, gdzie ci dwaj naczelnicy Shauwe'ów — Niedoszła Zemsta i Kąsający Chmury —

ostatniej zimy zostali oskalpowani, a że to dla jednych jest kierunkiem, gdy inni z powodów szczególnych pragną innego kierunku, gdy droga mormonów Mosbys o trzeciej godzinie rano opuszcza i przez Jawbone-Flat do Blucher a potem w dół na Jug-Handle idzie, gdzie droga wzmiankowany Dawsons zostawia na lewo a następnie do Tomahawku prowadzi, przez co droga jest tańszą i dla wszystkich, którzy do niej dotrą, jest dogodniejszą i dostępniejszą, i obejmuje wszystkie przez wszystkich innych pożądané cele, tedy największej ilości, najwięcej dobre go daje i z tych powodów mam nadzieję, że i my tam będziemy. Tymczasem z radością zawiadomię panów od czasu do czasu o tym przedmiocie, jeśli tego sobie życzycie i jeśli departament poczt będzie w tem położeniu wręczyć mi je.

Wam oddany

*Mark Twain*

za James'a W. N.

Senatora Stanów Zjednoczonych.

— Tak — cóż pan na to powiesz?

— Hm, ja nie wiem, panie senatorze. Ale — no ale, zdaje mi się... że to dość dwójznaczne.

— Dwój — wynoś się pan! Jestem zrujnowany. Ci dzieci z Humboldt nigdy mi nie darują, że takim listem zawróciłem im głowę. Straciłem szacunek kościoła metodystów, collegium miejskich delegowanych — —

— No, o tem już nie mówię, gdyż może w listach do tych panów za łagodnie się wyraziłem. Ale co

do ludzi z Baldwins-Ranch, wszak dobrze napisałem, panie senatorze!

— Wynoś się pan! I to na zawsze i na wieki!

Słowa te uważałem jako ukrytą alluzję celem pozbycia się mojej osoby i złożyłem mój urząd. Nigdy już nie będę prywatnym sekretarzem senatora. Ten rodzaj ludzi nie zna się na wdzięczności. Oni nie absolutnie nie wiedzą. Z tego też powodu nie potrafią należycie ocenić naszych starań.

### Tajemnicze odwiedziny.

Pierwszy który mnie odwiedził, gdy niedawno „osiadł spokojnie”, był jakiś pan, mianujący się taksatorem i zostający w związku z wydziałem wewnętrznych dochodów skarbowych. Powiedziałem mu, że o tej gałęzi przemysłu pierwszy raz słyszę, jednakże cieszy mnie jego wizyta — i prosilem go usiąść.

Usiadł. Właściwie nie wiedziałem o czem mam rozmawiać, a jednak czułem, że ludzie, cieszący się godnością właściciela domu, są swobodni, przyjacielscy i zabawni w towarzystwie. Tedy zapytałem go w braku tematu, czy nie otworzy sklepu w naszym sąsiedztwie.

Potwierdził.

Nie chciałem się okazać nieświadomym, lecz spodziewałem się, że on mnie poinformuje, co będzie sprzedawać.

Zapytałem go, jak mu idą interesy?

Odpowiedział:

— Tak sobie.

Następnie powiedziałem, że przekonawszy się o nim, i gdy jego sklep będzie się nam podobać — będziemy u niego kupować.

Odpowiedział, że jego interes spodoba się nam pewno, i tylko jego zechcemy znać — nikt jeszcze nigdy, kto miał z nim stosunek nie odszedł od niego, by poszukać innego zastępcę tegoż fachu.

To brzmiało dość zarozumiale, lecz odrzuciwszy wyraz podłości wspólny nam wszystkim, wyglądał on na wcale czcigodnego człowieka.

Nie przypominam sobie w jaki sposób przyszło do tego, dość że zbliżyliśmy się do siebie i odtajali — mianowicie w naszej rozmowie — a potem szło wszystko jak w zegarku.

Gadaliśmy i gadali i gadali — przynajmniej ja to czyniłem. I śmieliśmy się, śmieliśmy się i śmieliśmy się — przynajmniej on to czynił. Lecz podczas tej rozmowy zachowałem całą przytomność umysłu — i baczną uwagę zwracałem na niego. Byłem zdecydowany, mimo jego niejasnych odpowiedzi w kwestyi jego przedsiębiorstwa — i byłem zdecydowany dowiedzieć się dokładnie, chociaż on nie przypuszczał, do czego dążę. Zamyślałem go schwycić w głębokiej, bardzo głębokiej zasadzie. Chciałem mu wszystko o moim własnym interesie opowiedzieć, a on w cza-

sie wybuchu tego mego zaufania sam się rozgrzeje, zapomni się i opowie o *swych* interesach, nie przeczuwając, że to umyślnie zrobiłem. Mój kochany, myślałem sobie, nie wiesz nieboraku z jakim ty sta rym frantem masz do czynienia. I powiedziałem:

— Żałowałbym się, że pan nie zgadniesz ile zarobiłem tej zimy i ostatniej wiosny niewąjąc odczyty?

— Nie — nie zgadłbym, choćby to szło o moje życie. Lecz zaczekaj pan — zaczekaj. Być może, że tak, mniej więcej dwa tysięcy dolarów? Lecz nie — wiem, że tyle pan nie zarobiłeś, może tak siedemset?

— Hahaha! Wiedziałem, że pan nie zgadniesz. Moje dochody z odczytów wynosiły z ostatniej wiosny i tej zimy czternaście tysięcy siedemset pięćdziesiąt dolarów — cóż pan na to?

— No, to zadziwiające — bardzo zadziwiające, zrobię zaraz notatkę z tej wiadomości. I mówisz pan, że to jeszcze nie wszystko?

— Wszystko? Iii — uchowaj Boże! Oto n. p. mój dochód z „Ekstrapocztu bucefałowej”, za cztery miesiące, mniej więcej — tak, około ośmiu tysięcy dolarów!

— No, chciałbym kiedyś być tak bogatym. Ośm tysięcy! To muszę zanotować. Hm, hm, mój panie — jak uważam pan musisz zapewne mieć i inne jeszcze dochody?

— Hahaha! pan jesteś dopiero na początku, na przedmieściu, że tak powiem. Oto moje dzieło: „Niewinni w podróży” — cena 3 dolary 50 centów do pięciu dolarów według okładki. A teraz posłuchaj.

Patrz mi się w oczy. Podczas ostatnich niecałych pięciu miesięcy, sprzedaliśmy 95.000 egzemplarzy — nie licząc poprzedniej rozprzedaży 95.000! A teraz pomyśl pan, za każdy egzemplarz przeciętnie cztery dolary, czyli że to wyniesie czterysta tysięcy dolarów, z tego dostają połowę!

— Wielkie nieba! I to muszę zapisać. Czternaście — siedm — pięćdziesiąt — ośm — dwieście. Suma «umarum — no, na honor, toż to jest dwieście trzy naste do czternaście tysięcy dolarów. Czy to możliwe?

— Możliwe! Jeśli popełniłem omyłkę, to chyba, że za nisko oceniłem me dochody. Dwieście czternaście tysięcy gotówką — tyle wynosi mój tegoroczny dochód, jeśli umiem liczyć.

Potem ten pan wstał, by się pożegnać. Mną owładło niemiłe uczucie, że być może, iż moja otwartość nie poskutkuje, pomijając to, że uniesiony wykrzyknikami podziwienia podałem mój dochód za wysoko. Lecz nie, albowiem w chwili pożegnania przybysz ten dał mi do ręki wielką kuwertę, mówiąc, że ona zawiera świadectwa jego przemysłu, wszystko znajdę tam w porządku i byłby szczęśliwy, gdybym został jego kundmanem — nawet byłby *dumnym*, z tak bogatego człowieka, wprawdzie sądzi on, że w mieście jest wielu bogatych, lecz gdy się wglądnie w ich interesa, odkrywa, że zaledwie starczy im na życie, i że nie może się powstrzymać od uściskania mnie, gdyż to tak dawno, tak bardzo dawno, gdy widział i dotykał się bogatego człowieka — i faktycznie uważałby się za szczęśliwego gdybym pozwolił na uścisk. To podobało mi się

nadzwyczajnie i nawet nie próbowałem zabronić temu obcemu o głupim sercu wyściskania mnie i wycałowania. Następnie oddalił się.

Po jego wyjściu, otworzyłem wręczone mi papiery. Przez cztery minuty studyowałem je pilnie. Potem zawołałem kucharkę i rzekłem:

— Trzymaj mnie, bo zemdleję. Każ Maryi przypilnować leguminę.

Gdy stopniowo się opamiętałem, posłałem do różnej fabryki rumu, by wynająć sobie artystę płatnego tygodniowo, któryby przez całą noc przeklinał tego przybysza, a pocieszał mnie szturchaniem, gdybym natrafił na zawiłą kwestję.

Ach, co za złośliwy był ten przybysz! Jego świadectwa, były podłemi kartkami podatkowymi — był to szereg pytań bezwstydných dotyczących moich prywatnych interesów — pytania te były tak sztucznie ułożone, że najstarszy człowiek nie byłby rozumiał ich celu. Pytania wreszcie, które zmuszały człowieka do podania poczwórnego dochodu, jeśli nie chciał złożyć fałszywą przysięgę. Szukałem punktu wyjścia, i nie mogłem go znaleźć. Pytanie Nr. 1 obejmowało moje położenie tak szczerlnie, jak nakrywa parasola gniazdo mrówcze:

— Jakie były pańskie dochody w ostatnim upłynionym roku, czy to z handlu, przemysłu lub powołania, gdziekolwiek przedsiębranego?

To pytanie było wsparte przez trzynaście innych równie ciekawych, z których najskromniejsze brzmiało czy nie popełniłem kradzieży i zbrodni, lub czy nie zyskałem mój majątek przez podpalenie albo za-

bójstwo, lub innym nieuczciwym sposobem, a które to pytanie nie było odpowiedziane w rubryce Nr. 1.

Było to widoczne, że przybysz dopomógł mi stać się śmiesznym. To było bardzo widoczne, aż nadto nawet; i tak wyszedłem, by poszukać artystę. Gdy moją próżność on polechtał, przybysz skłonił mnie, me dochody podać na dwieście czternaście tysięcy dolarów wolnych od podatku — jedyny jasny punkt, który dostrzegałem, był tylko kroplą w morzu. Według prawnego piątego procentu musiałem rządowi straszliwą sumę dziesięciu tysięcy sześciuset pięćdziesiąt dolarów zapłacić jako podatku dochodowego.

(Tu muszę dodać, że nie uczyniłem tego).

Znam pewnego, bardzo bogatego człowieka, którego dom jest pałacem, który prowadzi stół królewski, wydaje olbrzymie sumy, a który nie ma jednak żadnych dochodów, jak to często widziałem na kartach podatkowych. Do niego udałem się teraz po radę. Wziął do ręki podane przezemnie sumy dochodu, wsadził na nos okulary, wziął pióro do ręki, i oto jednym pociągnięciem pióra zostałem ubogim! Było to rzeczą bardzo łatwą. A mianowicie wykonał to w ten sposób, że sprytnym sposobem zestawił moje „wydatki”. Wpisał moje podatki „państwowe, narodowe, miejskie”, moje „straty przez rozbicie okrętów, pożary i t. d.” „Straty przy sprzedaży gruntów” — „przy licytacji bydła” — „przy płaceniu czynszu dzierżawnego” — z powodu „reparacji, ulepszeń etc.” — a prócz tego zważywszy że „moja pensya jako urzędnika armii, floty, podatków



etc. była już opodatkowana” — tedy chciano mnie poszkodować na taką a taką sumę. Zliczywszy wszystkie te „wydatki” odciągnął od rozpisanego podatku i oto właściwy mój dochód roczny stopniał na *tysiąc dwieście pięćdziesiąt dolarów i czterdzieści centymów*.

— No! rzekł on, tysiąc dolarów są wolne od podatku, tedy nie panu nie pozostaje jak przysiąc na rzetelność tego dokumentu i zapłacić podatek od sumy dwustu pięćdziesięciu dolarów i czterdziestu centymów.

(Podczas gdy on to mówił, mały synalek jego Willy wykradł mu z kieszeni dwa dolary i założyłbym się, że gdyby ów przybysz jutro doń przybył, on podałyby mu fałszywe dane co do dochodów swoich).

— Czy i dla siebie, odezwałem się, robisz pan takie odciąganie wydatków?

— Ależ ma się rozumieć! Bez tych jedenastu klauzulek, figurujących pod tytułem wydatki, byłbym dziś żebrakiem, popierając ten wstrętny, podły, rozbojniczy i tyrański rząd.

Ten pan żyje w najlepszych towarzystwach — stoi wyżej od ludzi najmoralniejszych, kupieckiej rzetelności, i najczystszych — tedy uchyliłem się przed nim. Poszedłem do urzędu i wobec oskarżających mnie spojrzeń przybysza, zaprzysięgałem kłamstwo po kłamstwie, oszustwo po oszustwie, podłość po podłości, aż póki moja dusza nie opancerzyła się przeciw krzywoprzysięstwu, aż póki na zawsze nie straciłem szacunku dla siebie.

Lecz cóż to znaczy? To przecież czynią rok rocznie najwyżej postawieni, najbogatsi i najdumniejsi ludzie w Ameryce. I dlatego nic sobie z tego nie robię. Nie wstydzę się tego, i teraz będę się strzedz mówić wiele, bym nie popadł nieodwołalnie w pewne, wstrętne przyzwyczajenie.

K O N I E C.



372674

372674/3

stym papierze, kosztuje w Warszawie i we wszystkich  
ajenturach księgarskich :

### Dwanaście kopiejek srebrem,

a z przesyłką pocztową **piętnaście kopiejek**. — Dla  
uniknienia jednak pomyłek przy przesyłce pieniędzy  
z prowincyi, samowienia tylko na kolejną tomiki  
prajmować będziemy: to znaczy: nadsyłający rs. 1  
kop. 50 otrzymają dziesięć z rzędu wydanych tom-  
ków, ra. 3, dwadzieścia i t. d.

### SPIS RZECZY.

	Sir.
Redagowanie dziennika w Tennessee.....	3
Świętej pamięci Benjamin Franklin.....	13
Haniebne prześladowanie chłopca.....	17
Golarze.....	23
Moja zbrodnia.....	28
Szczególna podróż.....	33
Mowa na szkockim bankiecie w Londynie.....	40
W jaki sposób redagowałem czasopismo rolnicze.	44
Riley, korespondent dziennika.....	52
Dlaczego złożyłem mój ostatni urząd.....	57
Moje miejsce sekretarza u senatora.....	68
Tajemnicze odwiedziny.....	76

### Spis autorów których głównie mamy na widoku.

Anakreont, Andersen, Balzak, Béranger, Björnson,  
Boccaccio, Börne, Brontano, Bret Harte, Bulwer, Bür-  
ger, Burns, Byron, Chamisso, Czajkowski, Danilewski,  
Dante, Delavigne, Dikens, Dumas, Eckstein, Eschy-  
los, Eurypides, Feuillet, Foscolo, Gellert, Girardin,  
Goethe, Gogol, Goldoni, Goldsmith, Heine, Hoffmann,  
Höfly, Homer, Horacy, Iffland, Jan Paweł, Jokay,  
Kalderon, Klopstock, Koerner, Krasieki, Krasieński,  
Kraszewski, Lesage, Lessing, Longfellow, Lope de  
Vega, Maffai, Maistre, Maleczewski, Manzoni, Marlit,  
Marryat, Mickiewicz, Moliere, Moore, Moreto, Mörus,  
Mooser, Murad-effendi, Murger, Nibellungi, Niemce-  
wicz, Osian, Pellico, Pestalozzi, Petöfi, Platen, Plaut,  
Ponsard, Pope, Ruskini, Basin, Rabelais, Rochefou-  
cauld, S. Pierre, Sand, Sandeux, Sardou, Schlegel,  
Schopenhauer, Schüchling, Scott, Scribe, Scheridan  
Słowacki, Sofokles, Souvestre, Stern, Swift, Szeka-  
pir, Sciller, Tacyt, Tasso, Tegner, Tenyson, Teofrast,  
Turgeniew, Victor Hugo, Voltaire, Voss, Weilen, Wie-  
land, Wirgiliusz, Zaleski, Zmorski, Zschokke, Za-  
chariae, i wielu, wielu innych mianowicie nowożytnych

## WYŚZŁY:

1. Goszczyński Seweryn. Oda.
  2. Heine Henryk. Obrazy z podróży (Harz).
  3. Börne Ludwik. Wybór szkiców i powieści.
  4. Goszczyński Seweryn. Zamek Kaniowski.
  5. Macaulay. Szkice krytyczne i historyczne (Milton).
  6. (de) Musset Alfred. Karmozyna, dramat.
  7. Wiliam Szekspir. Zimowa Powieść, dramat.
  8. Henryk Heine. Obrazy z podróży (Norderney).
  9. Börne Ludwik. Wybór szkiców i powieści t. II.
  10. Adalbert Chamisso. Dziwna historia Piotra Schlemihla.
  11. Henryk Heine. Obr. z podr. (Dobosz Legrand).
  12. Mark Twain. Humoreski tom I.
  13. Petöfi. Wybór poezyj.
  14. Henryk Heine. Obr. z podr. Listy z Berlina.
  - 15 i 16. Goethe. Cierpienia Młodego Wertera.
  17. La Rochefoucauld. Maksymy i myśli moralne.
  18. (de) Musset Alfred. Andrea Del Sarto, dramat.
  19. Iwan Turgenjew. Pamiętniki myśliwego.
  - 20 i 21. Heine Henryk. Księga Pieśni w przekładzie Al. Mielezki-Maliskiewicz.
  - 22 i 23. Szekspir. Otello, Tragedya.
  24. Karolina Swietla. Powieści wiejskie.
  25. Mark Twain. Humoreski tom II.
  - 26 i 27. Erckman Chatrian. Pani Teresa.
  - 28, 29 i 30. Jean Paul. Hesperus (Biografia) przekład M. Bogańowicza.
- Pod prasa się znajdują:**
- Prevost. Manon Lescaut.
- Bajron. Pielgrzymka Ozajlda Harolda w przekładzie Wiktora z Baworowa.
- (de) Musset Alfred: Ludwisia (komedia).
- Lermontow. Demon w przekładzie W. S.
- Bajron: Wyspa czyli Chrystian i jego towarzysze.